

Włodzisław Schreiber-Luczynski

1641

23

OBLĘD

OBŁĘD



~~F. GHAU~~
~~Asystent~~
~~Mie...~~

MIECZYŚŁAW SCHREIBER-ŁUCZYŃSKI.

OBŁĘD

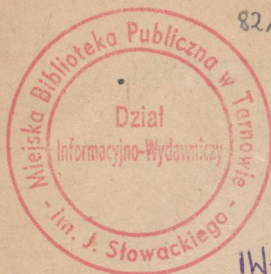
POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

Handwritten signature in black ink, possibly reading "Schreiber" or similar.

Red handwritten signature or mark.
R. G. AU
Księgarnia
Mielec

TARNÓW 1921
NAKŁADEM KSIĘGARNI ZYGMUNTA JELENIA

821.162.1-3



1W-3093

ORFED

WYDAWNICTWO

I.

Dogasła noc, szary zimny świt dźwigał się z trudem z brudnej pościeli oparów, zalegających wszystko, aż do granic horyzontu. Pola, wsi i lasy tonęły w morzu mokrych mgieł, senność walczyła z beznadziejnością, brzask jesienno-poranku z mrokiem ustępującej nocy. Przyroda zziębnięta i smutna patrzyła obojętnie na te zapasy, które niczego, bez względu na to kłoby zwyciężył, prócz śmierci przedzimowego konania, nie mogły przynieść. Ludzie spali. Przysiadłe domki zdawały się coraz bardziej zapadać w ziemię — pustki i ciszy nie przerywał żaden gwar, bo nawet wrony, zwykle przed wszystkimi przybywające z lasu w pobliże ludzkich siedzib, zdaje się zaspaly, nie troszcząc się o to, że może ich kto ubiedz w zbieraniu odpadków, walających się po drodze i podwórkach, wśród rozmokłej ziemi i w szczelinach między rzadkim, wydeptanym brukiem. Na drobniutkich kropłach rozpylonej w powietrzu rosy, tylko z jednego okna całej wsi tańczyły promienie światła, tworząc kręgi zbiegające się ku środkowi, senne i blade jak całe otoczenie. Po za tem oknem, w głębi dużej niskiej izby tuliła się do tysiąca drobnych dziwacznych przedmiotów, wielka żółta plama, z której wyglądały mniejsze, ciemne, niby dwa wygasłe kraterzy na tarczy zamartwego globu. Pan Harwick czuwał. Otwarte księgi, rozrzucone po stole i wszystkich krzesłach, papiery z dziwaczniemi figurami i jeszcze dziwaczniejszym układem liczb, dobywające się z kilku otwartych probówek paski

dymków, wskazywały na to, że nie teraz zapalono światło, ale że Harwick od wczoraj trwa przy pracy. I nie pierwszy to raz brzask zastawał go przy stole, nie pierwszy to raz bijące się światła dnia i jego lampy budziły go do tak zwanego życia. Życiem bowiem nazywali wszyscy to, co dla niego niem nie było. Dla niego zaczynał się dopiero w dzień prawdziwy sen. Głosy gwaru ulicznego, postacie przechodni, zgiełk i walka o byt, były to dla niego dręczące mary snu, które go czasem unosiły z sobą, ale przy których jego świadomość była gdzieś daleko i nie nadchodziła nawet wtedy, gdy się zdarzało, że chciałby brać w coś udział, jak inni żywi z jego otoczenia. Harwick nie był głuchy, a przecież nie słyszał, miał silny wzrok, a nie widział, umysł logiczny, a nie rozumował. Z długich wywodów ludzi, którzy się z nim stykali, słyszał czasem ledwie drobną część słów, ale i te brzmiały mu tylko w uszach, niby jakiś bezsensowny turkot, coś, co nie kryje w sobie żadnego pojęcia, co drażni tylko słuch, nie budząc świadomości. Harwick potakiwał głową, gdy z miny mówiącego mógł się spodziewać, że mówiący sobie tego życzy, negował, gdy odczytał coś przeciwnego, ale przeważnie nie wiedział o czym była mowa. Na ulicy przechodził obok dawnych znajomych, patrząc na nich i nie zdając sobie sprawy z tego, czy patrzy na twarz czyją, czy na wystający gzyms jakiegoś domu; to znów pozdrowiał osoby mu zupełnie obce, w których jakiś szczegół budził w nim wspomnienie kogoś, kogo znał dobrze, ale który może już od wielu lat nie należał do żywych. Zajęty uporczywie powracającymi myślami, zmuszony nieraz do rozmowy o temacie, który go nie zajmował, już to jako dawno przemyślany, już to obcy jego konstrukcji psychicznej, przerywał często mówiącemu, odskakując niespodzianie od tematu do innego, podając przesłanki na coś wręcz przeciwnego, jak to, czego się chciało dowieść. Pan Harwick nie znał życia, choć o niem wyrażał czasem głębokie zdania. Z teorii wiedział, że istnieją jego jasne i ciemne strony,

że jednak za jasne uważał te tylko, które mu dawały jakąś dozę ciepła, a pod ciemnemi rozumiał całą kryminalistyczną galerję typów, uzupełnioną ludźmi, którzy wobec niego postąpili kiedyś nieuczciwie, przeto, nie badając dróg dobrych i złych objawów, patrzył na życie jako na coś gotowego, tak jak patrzy laik na kryształ, powstały z chemicznego związku. Jego oczy widziały tylko kolory zimne i gorące, półtonów nie znały, cień odcinał się czarną plamą o ostrym konturze od jasnego światła, bez przejść, tak jak one nie istniały także w jego własnej ostrej psychice. Znał jedno tylko piękno, to, które było w jego świetle myśli — jedno zło, to, które skopane i sponiewierane odpychał od siebie, gdy go spróbowało znęcić do siebie i jedną sprawiedliwość, tę, którą osiągnąć postawił sobie za cel życia. Tymczasem życie go nie oszczędzało, uczyło go metodą bardzo surową, bijąc weń taranem, ale on wynosił z nauki tej nie przestroge, zmianę sposobu postępowania, jeno tępe wspomnienie bólu i głęboki pesymizm. Mrożony raz za razem, szukał serdecznego ciepła w ludziach, których sobie bez znajomości świata dobierał, i doznawał zawodów po to tylko, by znów z równą łatwowiernością rozpoczynać dawną drogę. Niedługo trawiła go głęboka miłość — wspomnienie jej pieścił w sobie — dawało mu ono przedsmak tej serdeczności, za jaką tęsknił; jednak zawiódł się, serdeczność odebrał mu kto inny, jemu zostawiając ból i tęsknotę. I rozgoryczał się coraz silniej. Prócz wizji pierwszej miłości nie uznawał innych kobiet. Kobiety — mawiał — nie są dobre, serce mają na pokaz, jest ono dla nich czemś jak brelok, którym się chce zaimponować, ale który z ich treścią nie ma nic wspólnego. I myślenie kobiet jest temsamem. Zewnętrzne, dalekie od prawdziwej ich psychiki — to porosty, pasożyty na ich świadomości, które ubrane w słowa, bawią dźwiękiem, ale nigdy nie rozpalają treścią na wskrós praktycznej duszy kobiecej. Takie myślenie — mawiał — nie stwarza niczego głębszego.

Pan Harwick lubił myśleć. Zbierał wyniki i przerabiał je na aforyzmy, a gdy aforyzm był gotów, powtarzał go sobie wiele razy, przy każdej sposobności, ciesząc się zawsze, ilekroć potwierdzał go jakiś świeżo zaobserwowany fakt. Przy całym pesymizmie był on jednak nie tylko negan-tem; owszem pracował twórczo i ciągle. Uparty w myśleniu, wracał stale wśród ustawicznych odskoków do raz obranego przedmiotu i dochodził do ścisłych, zupełnie oryginalnych wyników. I oto dziś zastał go budzący się dzień właśnie w chwili, gdy najgłębsza koncepcja jego myślenia, genialne odkrycie siły kosmicznej i ujęcie jej w karby doszło do skutku. Pan Harwick nie wątpił, że poranek ten będzie oznaczał wschód nowego słońca dla całej ludzkości i że pękły obrycze niewoli, w jakiej wszechwładna przyroda więziła dotąd życie. Uczucie nieokreślonej radości mieszało się w nim z tępotą myśli — stan zupełnej bierności z niewyraźnymi zarysami planów na przyszłość — wyczerpanie fizyczne z buntem rozbudzonego ducha. W szary jesienny brzask wpatrywał się bezmyślnie, z oczyma wlepionymi w jakiś punkt, majaczący na brudnej płachcie mgieł. Punkt ten rozpierał się na boki, tracił kontury i, przechodząc zwolna w rozlewną galarete, zbliżał się, spadał na oczy i mrokiem je zaczął przysłaniać, coraz to głębszym i jednolitszym. Pan Harwick zasnął. Na rozwarte karty ksiąg, na oświetlone lampą płaszczyzny rzuciło się światło dnia, dwoiste cienie z aparatów i retort wypełzły na ściany komnaty, a swąd dopalającej się w lampie nafty, przepełnił powietrze.

II.

W wielkiej sali uniwersytetu oksfordzkiego panował ścisk nie do opisania. Zdawało się, że ściany laża chwila się rozpadną i że tłum słuchaczy wyrośnie w górę pod sufit, gdzie zostawała jeszcze jedyna, wolna od ludzi przestrzeń. Profesor Browing, zwerbowany po długich pertraktacjach dla uniwersytetu w Oksfordzie, miał wykład inauguracyjny. Wyszedł z dumnie podniesioną głową, lekkim skinnieniem powitał zgromadzonych i stanąwszy za długim, najeżonym flaszeczkami stołem, rozpoczął wykład. Mówił długo i logicznie, zapełniał tablicę liczbami i wzorami, gromadził przesłanki i podawał wnioski z taką bezwzględnością, jakgdyby umysł ludzki był tylko motowiskiem długich gumowych sznurków, które można napinać, wiązać razem, skracać i nawiązywać, wedle potrzeby lub upodobania. Słowom towarzyszyło demonstrowanie. Asystenci podawali co chwila inną flaszeczkę, całe baterje rurek były w ciągłym ruchu, gaz i elektryczność oddawały na wyścigi swoje usługi uczonemu mężowi, a przed oczyma zdumionych słuchaczy powstawały coraz to nowe związki, coraz to bardziej skomplikowane w swej budowie, ale nie ustępujące ani na włos od tego, co potwierdzały rachunki i przesłanki profesora. Słuchający mieli wrażenie, że wszystkie atomy omawianych pierwiastków śledzą z wytrzeszczonemi ślipiami za znakami i figurkami rysowanemi przez profesora, by wedle nich, jak najprędzej stanąć sobie tam przy innych atomach, gdzie im wska-

zywał miejsce odnośny wzór strukturowy. Wykład miał się ku końcowi, twarz prelegenta pałała z zadowolenia, wzrok pobłażliwie ślizgał się po rozentuzjasmowanych słuchaczach, jeszcze ostatni eksperyment, niby finał długich wniosków dokonywał się w jednym z aparatów, gdy w tem stało się coś niepojętego. Profesor zbladł i pytająco spojrzał na asystentów, którzy bezradni rzucili się do przyrządów, nie wierząc własnym oczom. W aparacie przebiegała z błyskawiczną chyżością reakcja wsteczna, rozbiegły się pierwiastki, każdy szukając dla siebie własnego miejsca. Wzburzony profesor, zapominając o audytorjum, zaczął wymyślać asystentom o niedbalstwie i braku znajomości przedmiotu, ci zaś, nie poczuwając się do winy, odpowiadali ostro; powstała kłótnia, której akademicy przysłuchiwali się nie z mniejszem zainteresowaniem, jak przed chwilą uczonym wywodom prelegenta. Doświadczenie zaczęto na nowo — jednak obecnie już nie tylko w aparacie zaszły zmiany, ale także poszczególne flaszeczki zaczęły się szybko zmieniać, związki barwne traciły kolor, wiele korków wyleciało pod sufit, zapach chloru rozszedł się w powietrzu, leciuchne dymki poczęły się unosić białymi pasemkami z flaszek i probówek, a skomplikowany system rurek rozleciał się z trzaskiem w kawałki.

Niemasz nic bardziej humorystycznego jak widok człowieka, którego duma zaprowadziła po to na ostatni szczebel sławy, by go stamtąd zepchnąć. Osobnik upojony zwycięstwem myśli aforyzmami, przytłumione wzruszeniem władze psychiczne, nie są zdolne do tworzenia logicznych wniosków, operują przetrawionemi zdaniami, nie zgłębiając ich treści. — Furja zemsty skosi każdy posiew — szeptały zbielełe wargi profesora — każdy — powtarzały raz po raz jego myśli — każdy — brzęczało mu w uszach, ciągle w kółko, bez ustanku, wywołując chaos, rodzaj zachwaszczenia mózgu, który w swej bezsilności nie próbował nawet zdobyć się na jedną choćby

myśl. Sala zaczęła się opróżniać, śmiechy i złośliwe uwagi dochodziły aż do katedry, wywołując tem większą bezradność profesora. Zgnębiony, z oczyma ogłupiałemi od emocji, opuszczał i on salę, gdy na progu zatrzymała go jakaś dziwna postać. Z długiej, ciemnobraunatnej peleryny, wychylała się duża głowa, na której żółte policzki kłóciły się z głębokimi czarnemi oczyma, mocno podkrążonemi sinawem półtonowaniem.

— Profesorze — odezwał się Harwick — czy atomy umieją czytać?

Profesor oprzytomniał, zdziwiło go to pytanie, a przejście w sali zbyt go oszołomiło, by zastanowić się, czy naiwność czy też złośliwość powodowała pytającym.

— Atomy nie są człowiekiem, a w żadnym razie takim, dla którego czytanie jest szczytem marzeń — odburknął, obrzucając Harwicka wzgardliwym wzrokiem.

— A jeśli nie umieją czytać, czy sądzisz profesorze, że zrozumiały to, coś im raczył na tablicy powykreślać?

— Oburzenie oblało rumieńcem blade oblicze profesora, a ręka nerwowo zaczęła drgać i wykonywać ruchy, po których można było się domyśleć, że celem jej jest znaleźć się w pobliżu Harwickowskiego kołnierza. Profesor poznał dopiero teraz, że stał się ofiarą gryzącej ironji nieznajomego.

— Jak pan śmiesz w ten sposób przemawiać do mnie, czy sądzisz, że drobne niepowodzenie moje w czasie wykładu uprawnia każdego nieuka do lekceważenia mnie?

— Kto wie czy właśnie to, tak zwane przez pana nieuctwo, nie jest głębsze niż pańska nauka — odrzekł spokojnie Harwick, kierując głębokie zimne spojrzenie na profesora.

Z kim mówię? — spytał gwałtownie profesor.

— Jestem z zawodu mydlarzem, ale od kilku lat żyję z kapitału — nazywam się Harwick.

— A więc ex-mydlarzu, panie Harwicku! — bardzo

mi przykro, że nie mogę z panem nadal dysputować, ale spieszo mi do domu, a rozmowa z panem, ani dla ciała ani dla umysłu, nie jest bynajmniej pokrzepieniem — wyrzucił jakby jednym tchem profesor i uchylając ledwie widocznie kapelusza, chciał się oddalić.

— Jeszcze słówko profesorze — zawołał Harwick, przytrzymując Browinga za rękaw. Winien jestem panu odpowiedź, proszę o dwie minuty cierpliwości.

— Dobrze, tyle czasu mogę panu poświęcić — odrzekł zniecierpliwiony profesor i stanąwszy w wyczekującej postawie, mierzył Harwicka od stóp do głowy.

— Proszę mi pokazać swój zegarek i potrzymać chwilę na dłoni — rzekł Harwick — dłużej niż dwie minuty nie zatrzymam pana.

Profesor wypełnił zlecenie, śledząc z widocznie wzrastającym zaciekawieniem wszystkie ruchy nieznanego. Ten wydobyl z kieszeni przyrząd, nie większy od pudełka z zapalek, a skierowawszy wycięte na nim okienko na grubą złotą kopertę zegarka, i odgiąwszy małą złotą blaszkę w stronę twarzy profesora, przycisnął jakąś sprężynkę i w chwili, gdy głuchy turkot dał się słyszeć w aparacie, koperta zaczęła żyć, drobniutkie cząsteczki srebra oddzieliły się od złota i ulokowały się na przeciwległej stronie koperty, gdy cząsteczki złota powędrowały w drugą stronę. Profesor stał osłupiały, rozumiejąc tylko to jedno, że nastąpiło tu rozbicie aliażu w sposób tak cudowny, o jakim dotąd nie śnił żaden chemik. Zegarek stanął, bo równocześnie ze zmianami na kopercie nastąpiły także zmiany w kółkach i osiach, których żelazo utraciło węgiel i przestało funkcjonować.

— Dwie minuty upłynęły — odezwał się Harwick — nie śmiem pana dłużej zatrzymywać. Dziękuję za ofiarowanie mi drogiego czasu, a w sprawie odszkodowania za zniszczony zegarek, proszę łaskawie przysłać mi rachunek do hotelu Astorja, nr. drzwi 34., a natychmiast go ureguluję. Żegnaj pana, panie profesorze!

Ale tym razem przyszła kolej na profesora, który w żaden sposób nie chciał do tego dopuścić, by Harwick odszedł, nie wyjaśnwszy tajemnicy eksperymentu.

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam pana — bełkotał — ale czyż można zawsze wiedzieć, z kim się mówi? Nazwisko pańskie tak mało znane — nie pamiętam, czym kiedy o niem czytał w naszych książkach lub czasopiśmie — zresztą byłem podrażniony nie udaniem się wykładu, a że, jak z obecnej pańskiej demonstracji wnioskuję, pan jesteś tym właśnie, który w wielkiej mierze do mego fiaska się przyczynił, więc godzi się, by mi pan moje zachowanie przebaczył i poświęcił parę chwil dla odpowiedzi na kilka pytań.

— Owszem, zostanę nawet dłużej, nie mam pilnej roboty, zresztą należę do próżniaków i lubię swobodną pogawędkę z ludźmi ścisłej wiedzy. Ale tu na ulicy, u wejścia do uniwersytetu, mniej się wygodnie rozprawia, a odpowiedź na pańskie pytania nie da się, jak przypuszczam, załatwić kilku frazesami. Chyba się nie mylę, posądżając pana, że pytania będą dotyczyć mego eksperymentu?

— Nie przeczę, żeś pan zgađł, bo też nie zdarzyło mi się nigdy widzieć coś podobnego — odrzekł profesor. Ale wracając do rzeczy, czy nie zechciałby mnie pan zaszczyścić w mojem mieszkaniu, Gueriot stritt 218. Jestem w domu od godziny 6-tej i, o ile pan się zgodzi, będę czekał na pana.

— Skorzystam z zaproszenia, zwłaszcza że jestem w Oksfordzie przyjezdnym i nie mam tu żadnych znajomości.

— A więc o szóstej — zawołał ucieszony profesor — i ściskając rękę Harwicka, wskoczył do czekającego pod uniwersytetem automobilu i wkrótce zniknął za zakrętem ulicy.

III.

Jeszcze całe dwie godziny — szepnął do siebie Harwick i powlókł się powoli w stronę wolnej ławeczki na zielonym, ocienionym skwerze. W pobliżu nie było nikogo, ktoby nań najmniejszą zwracał uwagę. Siedząca na sąsiedniej ławeczce jakaś stara kobiecina robiła machinalnie pończochę, mrucząc pod nosem pacierze — dalej, na innej ławeczce leżał na wznak marynarz i chrapał jak tartak parowy, a wreszcie na trzeciej i ostatniej drzemała niańka, obok niej zaś stał wózek, kryjący pod zapuszczoną budą coś, co można było równie dobrze wziąć za wielką rzodkiewkę, jak za główkę małego dziecka. Harwick rozglądnął się wokoło, a upewniwszy się, że go nikt nie podgląda, wyjął z kieszeni aparat i odsunawszy zeń wieko, wpatrzył się w jakąś ciemną płytkę, która pokrywała pod wiekiem całą płaszczyznę mechanizmu. Długo trwało to nieme obserwowanie, podczas którego rysy twarzy Harwicka tak dziwnie się zmieniały, że można było przypuszczać, iż co chwila kto inny siedzi na ławce. Wreszcie głęboka zmarszczka przecięła jego czoło i nadała twarzy wyraz tak surowy, jaki spotkać można tylko w najostrzejszych więzieniach Anglii. — A więc zbrodnia — opinia kłamie, mówiąc o jej samobójstwie — wyszeptał i wyjąwszy z aparatu jakąś część, nie większą od ziarenka grochu i silnie opalizującą, wkręcił ją do sygnetu, wyjmując zeń duży opal. Dokonawszy tej operacji, zamknął szczelnie pudełko i schował do tej samej kieszeni. Harwick

nie był zdolny do długiej kontemplacji nad bezcelowymi tematami. Za wiele rzeczy go interesowało, by miał czas na marzenia. Obok jego ławeczki rośło wysokie drzewo, o starej splekanej korze. W miejscu, gdzie się stykało z poręczą ławki, uplótł sobie pajak siatkę i siedząc nieruchomo w swej szczelinie, oczekiwał na przybysza, któryby mu wyrządził tę grzeczność, że oddałby mu się na zjedzenie. Ale widać nie wiele osobników przestudjowało dotąd kodeks pajęczego dobrego wychowania, bo siatka była pusta, a żadne resztki nie wskazywały na to, by na niej właściciel wogóle coś kiedy ułowił.

— Mam ten sam cel w życiu — pomyślał Harwick, przypatrując się pustej siatce.

Ale ledwie myśl ta w głowie jego powstała, poczuł że mu po czole chodzi mucha i nieznośnie łechce. Wszelkie podnoszenie brwi i marszczenie twarzy nie odnosiło skutku, pan Harwick musiał więc użyć swej ręki, by odpędzić intruza. Jednak mucha wracała znów, a biedny mydlarz pracował jak wiatrak, chcąc się wreszcie uwolnić od nie-miłego łechtania. Wtem mucha, chcąc obejść przeciwnika i zaatakować go z tyłu, wpadła w siatkę pajaka. Charakterystyczne bzykanie rozległo się na sieci, która zatrzęsała się jak w febrze, budząc czatującego gospodarza. Ten wybiegł zaraz z nory, lecz nim uszedł kilka pajęczych kroków, mucha przestała brzęczeć i wyciągnawszy łapki, zamarła w tej postawie. Pajak stanął i czekał. Harwick podziwiał cierpliwość muchy i pajaka.

— Kto zacznie pierwszy? — myślał — ale upływały całe minuty, a owady siedziały jak skamieniałe naprzeciw siebie.

Mucha była duża, pajak mały. Wreszcie wiatr zakolysał siatką, mucha brzękła, co było hasłem dla pajaka, by wypadłszy z swego odrętwienia, rozpocząć pracę nad uwikłaniem zdobyczy. Harwick przypatrywał się długo i z zajęciem aż do chwili, gdy pajak długą upluteńszą linę i zamocowawszy ją do splekanej muchy, zawlókł ją do szczeliny i rozpoczął ucztę.

— Dobra wróżba, zaczynamy! — szepnął do siebie.

Dobiegało pół do szóstej, gdy ex-mydlarz opuścił skwer, kierując się w stronę Gueriot stritt. W swej długiej brunatnej pelerynie odbijał silnie od mieszkańców Oksfordu, niejednen więc z przechodniów zerkał nań z niedowierzaniem, czasem nawet jakaś głośna krytyka dolaływała jego uszu. Ale on nie zwracał na to uwagi, przywykły do nieszukania w ludziach niczego więcej, prócz manekinów, wykrojonych wedle tej samej mody, tego samego żurnalu. Punkt o szóstej stanął pod bramą domu Nr. 218. Profesor zajmował całe pierwsze piętro. Wprowadzony do salonu, po oddaniu swego biletu, miał czas Harwick rozejrzeć się i wyrobić sobie pojęcie o właścicielu mieszkania. Dla niego było to rzeczą zawsze zajmującą.

Mieszkanie, to człowiek — każdy zdobi swój przybytek tak, jak to najlepiej odpowiada jego wymaganiom, smakowi i pojęciu o ludziach. W swoich uczynkach jesteśmy naogół szczerzy, nieszczerłość może być krótką fazą, pełną dyletanckich znamion, po których ją łatwo można poznać. Wpływ kultury jest czysto zewnętrzny, po latach, przy stosownej okoliczności budzi się w nas dawny, prawdziwy człowiek, ten sam, jaki był wtedy, gdyśmy byli dziećmi, i gdy zaczynano w nas zabijać własne ja i przerabiać na ogólnie obowiązujący fason. Tak więc i mieszkanie, choćby najnieszczersze w szczegółach, jest naogół odbiciem gospodarza.

Salon profesora potwierdzał to w wysokim stopniu. Kosztowne, wpadające w oczy sprzęty, słabe lecz jaskrawe obrazy, w bardziej od siebie wartościowych szerokich złotych ramach, uporządkowanie pozornie bezładne, a jednak celowe, biletów wizytowych tak, by najgłośniejsze nazwiska najpierw wpadały w oczy, wszystko świadczyło o ambicji właściciela, jego próżności i niezbyt wyrobionym guście. Płytki dorobkiewicz, oto było pierwsze zdanie każdego, kto wyposażony głębszym smakiem, odwiedzał dom sławy Oksfordu. Harwick wiedział więcej niż inni —

na jego przyrządzie w chwili gdy eksperymentował z zegarkiem, utrwały się wszystkie cechy psychiki profesora. Najskrytsze myśli, które jak błyskawice przebiegały wtedy przez jego głowę i trwoga przed ich ujawnieniem, znalazły swój wyraz w zmianach ciemnej płytki, czulej na wszelkie objawy tej materialnej siły, którą ludzie nazywają duchem. Niezliczone ciemne promienie, które w formie chcień, myśli i uczuć wysyła bez ustanku wszelki żywy organizm, przestały być tajemnicą dla Harwicka, umiał ważyć, mierzyć i obliczać, jak wszystko inne, co dotąd określano nazwą materji. Oglądając więc salon Browinga, nie miał potrzeby dowiadywać się przezeń o gospodarzu — snuł wnioski raczej z przyzwyczajenia z dawnych lat, gdy jeszcze wynalazek jego nie istniał.

Z wyszukaną grzecznością przyjął go profesor, posypały się piękne i gładkie słówka, słodkie miny i obiecujące uśmiechy. Harwick niezbyt się wysilał, by pobijać rywala tą samą bronią. Zdraadzał sztywność, która chwilami psuła profesorowi odegranie roli bez błędu i silnie go niepokoiła. Z salonu udano się do gabinetu profesora. Był to obszerny pokój, o dużych weneckich oknach, z potężnem dębowem biurkiem i ścianach obstawionych półkami na książki. Kosztowne oprawy, złożone napisy na dziełach, z których każde nosiło na grzbiecie bijący w oczy monogram właściciela, wygodna otomana, wysłana zwieszającym się z góry dywanem, stoliczki do palenia i pod książki, a przy nich miękkie fotele, wskazywały, że w pokoju tym mieszka wygodna uczoneść, sybarytyzm mędrca, który bynajmniej nie miał zamiaru być Dyogenesem. Mimo, że dzień jeszcze nie miał zamiaru ustępować miejsca nocy, lampy elektryczne płonęły, rzucając z pod różowych abażurów tajemnicze blaski na całą pracownię. Profesor wskazał gościowi miejsce na sofie i sam usiadł obok niego, przechodząc z wolna do tematu, który stanowił cel jego poufałości wobec mydłarza.

— Przyzna mi kochany pan — mówił do Harwicka,

że to panu mam do zawdzięczenia nieudanie się mego wykładu, czy zgadłem?

— Owszem, nie zaprzeczam, odrzekł zagađnięty — lecz bynajmniej nie chodziło mi o zrobienie dowcipu — jebnak przyczyn mego kroku nie czas jeszcze tłumaczyć, stanie się to kiedyś — nie dziś.

— Mniejsza o to, nie mam do pana urazy, chciałbym jednak wiedzieć, czy wszystkiego dokonał ten mały aparacik, którym kochany pan rozbijał tak szybko aliaż złota na moim zegarku?

— Nie inaczej, przyrząd ten potrafi o wiele więcej zdziałać, niż to, czego byłeś świadkiem profesorze.

— Co za siłą tajemną rozporządza pan i dlaczego świat o pańskim wynalazku nic nie wie? spytał profesor — czy mógłbym prosić o łaskę objaśnienia mi zasady pańskiego aparatu?

— O ile potrafię, postaram się panu wszystko wytłómaczyć, proszę się jednak nie dziwić, jeśli będę mówił jak dyletant, bo nie studjowałem chemji na żadnym uniwersytecie i nie mogę się wykazać żadną naukową powagą, któraby mnie w tę wiedzę wprowadziła.

— Ależ kochany panie — przerwał profesor, kładąc swą rękę na ramieniu Harwicka — jest przecież jasnem, że jakieś usterki przeciw ścisłej wiedzy muszą się trafiać u tych, którzy nie mieli sposobności do pogłębiania przedmiotu pod fachowem kierownictwem — pocóż byśmy my byli profesorami, gdyby bez nas można było samemu wszystkiego się nauczyć. Proszę jednak się nie krępować ewentualnem wykroczeniem przeciw metodzie swej nauki i mówić ze mną tak, jak ze starym kolegą w zawodzie.

— Pająk i mucha bawią się w nieżywych — pomyślał Harwick, i udając, że nie domyśla się arogancji oksfordzkiego luminarza, rozpoczął swe opowiadanie.

Ośm lat ubiega od chwili, gdy zawód mój, wyposażony dość prymitywnymi środkami, zmusił mię do rozglądnięcia się w teorji wyrobu mydła, o której dotąd nie

miałem pojęcia. Nie byłem nigdy większym fabrykantem i uprawiałem początkowo mydlarstwo jako boczną gałąź dochodów, gdyż głównem źródłem ich były wtedy dość zresztą nie wysokie procenta, jakie przynosił mi kapitał zostawiony przez matkę. Rodzeństwa nie miałem, wymagań nie wiele, więc też nie było potrzeby do obierania sobie jakiegoś zawodu. W mojej rodzinnej wsi, gdzie dotąd mieszkam, był mój ojciec jedynym mydlarzem. Po jego śmierci dostałem w spadku dom z wielkim wmurowanym kotłem, maszynkę do mieszania i formy z zwyczajnych desek do odlewu bloków. Dom uporządziłem, na przybory mydlarskie nie zwracałem uwagi, co więcej, zamyslałem nawet kuchnię rozwalić, a kocioł sprzedać. Jednak, gdy się zjawił kupiec i do tego sąsiad, z którym ojciec mój żył w niezgodzie i zdradził się, że zamysła wykonywać rzemiosło nieboszczyka — oświadczyłem mu, że się rozmyśliłem i kotła nie sprzedam. Teraz dopiero wzbudziła się we mnie chęć pójścia w ślady rodzica. Wiem, że nie chęć zysku, ale jakaś dziwna zazdrość pchnęła mnie w tym kierunku. Zaraz na drugi dzień sprowadziłem drzewo opałowe i kupiłem ług, na trzeci miałem już sporo tłuszców, a pod wieczór czwartego suszyły się już na strychu potężne bloki niewybrednego wprawdzie, ale czystego mydła do prania. Wyrobiona marka mego ojca i wzgląd na to, że było rzeczą jawną, iż ojcu zawsze przy pracy pomagałem, ściągnęło do mej chaty kupców, a że popyt na moje mydła wzrastał, a widok gotówki jest wcale silną podniętą do pracy, spędzałem całe dni nad kotłem, rozmyślając, w jaki sposób podnieść ilość produktu, a obniżyć koszt surowców. Próby te dokonywane w tym celu wykazywały mi jaśniej niżby to najlepszy mowca potrafił zrobić, że brak mi wszelkich teoretycznych podstaw chemii, i że ilość związków, którymi posługiwałem się, była zbyt znikomą w porównaniu do efektów jakie chciałem wywołać. Czy nauka chemii zajmowała mnie, trudnoby mi było panu powiedzieć. Nie

mogłem jej nigdy dokończyć. Za każdą przeczytaną stronę eksperymentowałem, najczęściej na opak. Wracalem ciągle do przyrody, książki mi wydawały się zbyt suche. A tymczasem moja fabryka zaczęła coraz mniej wytwarzać, klienci opuszczali mnie jeden po drugim i wkrótce zostałem bez czeladników. Ja jednak uprawialem dalej swoje próby. Nie chcę pana nużyć opowiadaniem, jaką drogą docho-
dziłem do mych wniosków — podam je gotowe i liczę na pańską pobłażliwość, jeżeli nie będą w zgodzie ze stanem obecnej nauki.

Browing wyczuł lekki sarkazm w głosie Harwicka, jednak choć oczy błysnęły mu złem światłem, przygryzł wargi, bojąc się obrazić gościa przed wyłudzeniem odeń tajemnicy wynalazku, przejmującego go instynktownym lękiem.

Harwick obojętny na wrażenie, jakie robiło jego opowiadanie na profesora, ciągnął dalej.

— Obserwując ciała w czasie ich odtwarzania się z chemicznych związków, zauważyłem, że dlatego tylko posiadają w stanie powstawania inne własności niż wtedy, gdy nimi później operujemy, iż, będąc w związku chemicznym, tracą na rzecz innych składników część swej chłonności kosmicznej energii i potrzebują pewnego czasu dla odzyskania jej z powrotem. Istota bowiem wszystkich ciał jest wszędzie ta sama, różnią się między sobą tylko swym stosunkiem do energii kosmicznej, tak jak o barwie ciał stanowi fakt, iż jedne z nich zatrzymują promienie, inne je odbijają. Otóż, wracając do tematu, postanowiłem przez kilkakrotne wytwarzanie jednego pierwiastka z coraz to nowych związków, z których otrzymywałem je in statu nascendi, dojść do takiego, w którym chłonność energii kosmicznej równałaby się zeru, czyli, które mogłoby ją bez reszty odbijać. Eksperymentacja moja dała pod tym względem zdumiewające rezultaty. Otrzymałem ciało nieważkie, bez smaku, woni, barwy i kształtu, ciało, które równie dobrze możnaby nazwać pramaterją, jak duszą,

ciało, które jest substratem wszystkiego, co żyje, pragnie i czuje. Przez odbijanie z zewnątrz działającej energii kosmicznej i wtłaczanie jej w inne ciała, pramateria moja rozbija wszelkie chemiczne związki, wszelkie zespoły przyrodniczych potęg, które my, gdy są proste, nazywamy siłami materialnymi, gdy bardziej skomplikowane, duchem. Spyta pan o drogę, jaką do tego doszedłem. Powiem krótko: przez obserwowanie przyrody. Wy chemicy operujecie takimi armatami ze szkła i metalu, że żaden pierwiastek w stanie nascendi nie może pozostać ani na chwilę wolnym od wpływu energii kosmicznej z zewnątrz. Każdy wraca więc w waszych rurach natychmiast do indywidualnego swego stanu skupienia. Przyroda w swych labiryntach komórek i włóskowatych przewodów, wiąże energję kosmiczną, nie pozwalając jej działać na ciało w stanie nascendi i na natychmiastowe zwiększenie się jego chłonności. Ja poszedłem za przyrodą i, jak pan widzi, ze skutkiem. Ale ciekawość moja i przeczucie, że wszystko na świecie stanowi jedność, nie pozwoliła mi się ograniczyć do chemii — wkrótce przeszedłem do zjawisk psychicznych. I oto przekonałem się, że i one zależą od tych samych praw, co t. zw. materia, i że myślenie, czucie i wola polegają także na chłonięciu i odbijaniu pewnej części energii kosmicznej. Odbita w ten sposób energia, gdy ją przeniesiemy na drugiego osobnika, wytwarza w nim te same stany psychiczne, jakie istniały w pierwszym.

Na tem urwał Harwick, i zapalając papierosa, obserwował nieznacznie twarz profesora, na której nerwowe drgania zdradzały jakieś dziwne podniecenie. Przez chwilę trwało milczenie; wreszcie przerwał je Browing.

— To, co pan mówi, jest tylko teorią, ja zaś chciałbym zobaczyć przyrząd, w którym mieści się to cudowne ciało. Czy ma pan je przy sobie? — spytał z udanym chłodem.

— Owszem, nie rozstaję się z niem nigdy, zresztą,

gdybym był nawet chciał, nie miałbym go gdzie zostawić, bo nie wstępowałem do mego hotelu.

— W takim razie proszę o nie! — rzekł profesor.

— Mimo najlepszych chęci nie mógłbym go panu pokazać, bo nie dokonałem nim jeszcze wszystkiego, co mam wykonać, zanim opublikuję swoje odkrycie — odpowiedział spokojnie Harwick.

— Nie mała to próba dla mej ciekawości, do której dołącza się także obawa, że wynalazek ten użyty przez pana nie stanie się nigdy tem, czem byłby w ręku jednego z fachowców.

Chce mi profesor przez to powiedzieć, że dzieciom i obłąkanym nie daje się noża do ręki — czy tak? zapytał śmiejąc się Harwick.

Ale profesor nie miał chęci do żartów, wewnętrzne wzburzenie, że cały plan wyłudzenia od ex-mydlarza tajemnicy wynalazku i udaremnienia jego następstw skończył się na usłyszeniu prelekcji, opanowało go do tego stopnia, że zapominając o roli uprzejmego gospodarza, odburknął szorstko.

— Kto wie, jaką miałbym dać odpowiedź na pańskie pytanie, gdybym chciał być szczerym — przypuszczam jednak, że nie wypadłoby bodaj dla tego potakująco, iż zbyt często spotykamy się w życiu z pistoletami z czekolady i szabelkami z cukru.

— Harwicka bawiło podrażnienie profesora, nie tracąc więc dobrego humoru, odpowiedział swobodnie.

— O tak, życie nasze daje wiele przykładów szarlatanerii, sądzą jednak, że najlepiej ją wykonują szarlatani zawodowi; ci umieją się tak bielić, że nawet murzyny wśród nich zdają się być białymi.

Profesor zrozumiał, że Harwick parując cięcie, zadał mu cios tak silny, jakiego się po nim w tej chwili nie spodziewał. Cios ten godził w najstaranniej ukrywaną przez niego tajemnicę i dawał mu do zrozumienia, że ją odkryto. Twarz jego wyraziła w jednej chwili wszystko,

co rozpałiło mu mózg, żyły wystąpiły mu ostro na skro-
niach, a głęboka zmarszczka między brwiami wryła się
w czoło tak, że zdawała się przerywać czaszkę.

Sądzę, że skoro aparatu widzieć nie mogę, nie mamy
sobie nic więcej do powiedzenia — wycedził przez zęby —
bardzo przepraszam więc, że będę musiał pana opuścić,
gdyż mam ważne posiedzenie, przy którym moja obecność
jest potrzebna.

Rozumiem pana najzupełniej — odrzekł Harwick,
zabierając się do wyjścia — zresztą i mnie już czas do
mego hotelu, zwłaszcza, że dziś jeszcze chciałbym odjechać.
Żegnam pana, panie profesorze.

IV.

Po odejściu Harwicka, profesor rzucił się bezwładnie na fotel i popadł w zadumę. Ale nie długo to trwało, niepokój wewnętrzny nie pozwalał na bezczynność. Browing nie należał do ludzi, którzy stają w połowie drogi, a dziś musiał sobie powiedzieć, że z Harwickiem nawet wstępnych kroków nie ukończył. Zerwał się z krzesła i podszedł do telefonu.

— Hallo! — proszę o numer 215! Czy biuro meldunkowe? tu profesor Browing. Proszę o podanie stałego miejsca pobytu pana Harwicka, obecnie mieszkającego w hotelu Astorja.

— Chcesz zarzucić na mnie sieci, ale sam w nie wpadniesz szanowny panie mydlarzu — szepnął do siebie, odkładając słuchawkę i notując podaną przez policję miejscowość.

Po ukończeniu tej czynności usiadł przy biurku i nakerśliwszy kilka słów na bilecie, zadzwonił na służącego.

— Pójdiesz z tem — rzekł oddając mu bilet — do pana Resturnera i zaczekasz na odpowiedź! A spiesz się, gdyż zależy mi na czasie!

Służący oddał niski ukłon i wyszedł, profesor zaś tymczasem zabrał się do przeglądania wielkiego rozkładu jazdy brytyjskich kolei, aby znaleźć stację, na której miał wysiąść eksmydlarz. Wkrótce wiedział wszystko, czego chciał; miejscowość, w której należało się przesiadać, czasy odejścia i przyjazdu pociągów i czas ich przybycia

z powrotem do Oksfordu. Daty te, wciągnięte do notatnika pod podanym przez policję adresem, uzupełniły go, i stanowiąc pierwszą faktyczną pozycję w planie profesora, rozpogodziły mu czoło i pokrzepiły nadto rozigrane nerwy.

Punktualnie z uderzeniem godziny dziewiątej zjawił się Resturner. Był to człowiek niskiego wzrostu, krępy o szerokiej czaszce i wystających silnie kościach policzkowych. Małe czarne oczy, świdrowały nieustannie otoczenie, a lekki nerwowy grymas fałdował co chwilę skórę pod nimi i na policzkach, wprawiając ją w niemiłe dla widza drżenie. Ubranie Resturnera składało się z krótkiej pod szyję zapiętej czarnej kurtki i krótkich, ujętych w kamasze skórzanych spodni. Wielkie silne dłonie i niezgrabne nogi uzupełniały tę dziwną postać. Resturner należał do ptaków niebieskich. Nikt nie widział go przy pracy, nikt dobrze go nie znał — raz wyłaniał się na kilka dni w jednej dzielnicy, to znów przenosił się do innej — czasem znikał z Oksfordu na kilka miesięcy, a wtedy przychodziły wieści, że widywano go na najbardziej podejrzanych dzielnicach Londynu, w towarzystwie ludzi, mających wyrobioną markę w zapiskach policyjnych. W Oksfordzie bywał częstym gościem w najzapaźlejszych spelunkach, gdzie dawał koncerty w wypijaniu wielkich ilości whisky, w boksowaniu się i sztukach z kartami — czasem jednak przebrany jak skończony dżentelman, odwiedzał pierwszorzędne kawiarnie, gdzie toczył przy osobnym stoliczku poufne rozmowy z ludźmi należącymi do największych powag miasta. Mieszkanie zmieniał często, co mu tem łatwiej przychodziło, że nie miał prawie żadnych ruchomości, a jedyny sprzęt, t. j. kuferek obity mocną żelazną blachą, dał się łatwo przenosić, nie pociągając za sobą kosztów przeprowadzki. W Oksfordzie znano go z tego, że wynajmując mieszkanie, uiściwszy zapłatę za cały miesiąc, równocześnie je wypowiadał.

Jasne jest, że taki osobnik wzbudzał zainteresowanie się sobą, to też niejednen ze spokojnych mieszczan

wyteżał wszystkie siły, aby zaspokoić swoją ciekawość — jednak napróżno. Kim był, skąd przybył do Oksfordu, z czego czerpał na wesołe życie i ustawiczne podróże, tego nikt nie wiedział. Zapytywany o to, dawał odpowiedzi wymijające lub zbywał ciekawego jakimś żartem, często tak rubasznym, że przecinał wszelką dalszą indagację.

Przyszedłszy do profesora, Resturner usiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął przed siebie obie nogi i, zapalając krótką fajeczkę, wskazał gospodarzowi drugi fotel obok siebie.

— Czy jesteśmy sami? — spytał, wskazując na drzwi.

— Tak — odrzekł profesor — służącego wyprawilem z domu i nie wróci dziś więcej. Od dawna prosił mię, by go puścić na wieś, gdzie ma narzeczoną, dałem mu więc urlop, zwłaszcza, że nie zawsze dobrze mieć świadków.

— Wybornie znasz się profesorze na ludziach — odparł gość — a przypuszczam, że zdanie moje tem więcej będzie panu miłe, iż powtarzam je po pani Klewelton, która wczoraj jeszcze tak się o panu wyraziła.

— Pani Klewelton? — spytał profesor — a skądże pan znasz żonę sekretarza ministerjum oświaty, czy nie starasz się o jaką godność naukową?

— Bynajmniej, ale wiem, że gdybym się starał, poszedłbym tylko do niej, bo przecież i z pana zrobiła sławę oksfordzkiego uniwersytetu. Możemy być szczerzy z sobą profesorze, wybór kochanki świadczy tylko o twojej praktyczności — dodał, przysuwając się z fotelem i uśmiechając złośliwie.

— Panie Resturner — odezwał się profesor — ponieważ wiesz pan tyle — muszę się więc panu zwierzyć z tajemnicy, której dotąd nikomu nie powierzyłem... ja tylko z prawdziwej miłości utrzymuję stosunki z tą kobietą.

— Dajmy pokój temu, zanađto jestem dziś trzeźwy, bym miał iść na lep takiej szczerości i takiego zwierzenia, pan masz prawdziwych miłości więcej, w Londynie i okolicy jeszcze trzy, a dwie mile stąd, znów czwartą. Czy mam wyliczyć z nazwiskami? — zapytał drwiąco.

— Przejdźmy do innego tematu, bo czas ucieka, a sprawa, dla której pana tu prosiłem, nie cierpi zwłoki. Czy gotów mi pan być pomocnym?

— Na mnie zawsze można liczyć, o ile ktoś wart tego — odpowiedział Resturner — ale na zażatek prosiłbym o kieliszek wina, bo nie lubię na sucho załatwiać kontraktów.

— Gdy profesor wyszedł do drugiego pokoju, by wyszukać wino, Resturner podniósł się cicho z fotelu i, podszedłszy na palcach do biurka, błyskawicznym ruchem pochwycił zeń jakiś papier i schował do kieszeni. Potem wrócił na dawne miejsce, układając twarz do udanego znużenia. Za chwilę zjawił się profesor, niosąc na tacy wielką omszałą butelkę i kilka kieliszków.

— A to dla kogo? — spytał na ich widok Resturner — nie jestem kanarkiem, abym miał się zadowalać ptasiami porcjami, załatwiam sprawę znacznie prościej. Do ciebie profesorze, za pomyślność naszego przedsięwzięcia — dodał, chwytając za flaszkę i wypróżniając jednym tchem większą jej część.

— Profesor ostentacyjnie nie odpowiedział na toast, co widząc Resturner, sam dopił resztę i, rzucając butelkę o podłogę, zawołał z karykaturalnie wykrzywioną miną — taki los spotyka i ludzi, gdy już nie mają czem innych narkotyzować! — A może masz profesorze coś jeszcze w zapasie?

— Ale Browing się nie kwapił, gniewał go sarkazm gościa, który od pierwszej chwili stawał się coraz bardziej impertynenckim. Miał ochotę wyrzucić go za drzwi, ale że go potrzebował, więc, zmieniając ton mowy, zapytał?

— Czy ma pan czas jutro między godziną dziesiątą a jedynastą rano?

— A potem od godziny jedynastej do godziny czwartej popołudniu trzeciego dnia — dodał Resturner, przerywając profesorowi pytanie.

— Czy pan wiesz, o co mi chodzi?... spytał zdziwiony profesor.

— O rozkład jazdy do miasteczka A..., gdzie mieszka

pewien dżentelman, którego pan zna pod nazwiskiem Harwicka — odpowiedział Resturner.

— A więc pan znasz Harwicka i mógłbyś mi o nim powiedzieć coś bliższego, gdybym cię o to poprosił?

— Na prośby nic nie daję, jednak tym razem mogę zrobić wyjątek — dodał Resturner. — Ja wszystkich znam, a choć nie mógłbym powiedzieć, że jego znam właśnie jak pana i choć nie mógłbym go, jak pana, zaliczyć do ludzi naszego fachu, to przecież już ze względu na pańską osobę mógł mię zainteresować.

— Czy pan masz na myśli zajście podczas wykładu?... Ale jakże zdołałeś tak prędko wszystko wybadać i co ja mogę mieć za styczność z tym człowiekiem? — spytał profesor głosem, w którym brzmiał niepokój i silne zdenerwowanie.

— Co pan możesz mieć za styczność z Harwickiem, na to odpowie przyszłość... a zaś na to, jaką styczność miałeś z Harwickiem, o tem mogliby mówić tylko zmarli, a ci nie powiedzą.

Jacy zmarli? — odburknął profesor — przestańże pan mówić rebusami, szkoda czasu na głupstwa!

— To trzeba było powiedzieć swemu ojcu, zanim się pan urodził — odparł Resturner — ale, wracając do rzeczy, powiem panu jedno nazwisko, które zajmie mu więcej czasu, niż prowadzenie najdłuższej rozmowy. Czy przypominasz sobie profesorze panią Milly, z domu pannę Worth?

— Profesor, usłyszawszy to imię poblądł, potoczył oczyma wokoło i nagłym ruchem sięgnął do bocznej szuflady biurka. Ale w tej chwili chwycił go Resturner za rękę i skreślił ją tak silnie, że opadła bezwładnie na poręcz fotelu.

— Myślałeś profesorze, że dobrzeby było, gdyby ktoś, kto wie tyle, odszedł ze swojemi informacjami do królestwa niebieskiego, a nie tułał się po ziemi. Ale Browing nie dorósł do browninga, a teraz szuflada daleko, a Pan Bóg wysoko — spóźniłeś się! — dodał śmiejąc się na głos.

Profesor był złamany, fizyczna bezsilność wobec gościa i strach przed nim, ogarnęły wszystkie jego myśli, tylko tłumiona wściekłość rozpierała mu głowę. Wreszcie uczucie nadziei, że Resturner nie wie wszystkiego, a chce go tylko wybać, wyłoniło się jak oaza z pustyni i owładnęło profesorem.

— Udam, że niczego się nie domyślam. Zobaczymy, czy zna naprawdę moją tajemnicę, czy też chce mię podejść — pomyślał i zaraz przystąpił do wykonania.

— Czy jeszcze ciągle przypuszczasz, że chciałem do ciebie strzelać panie Resturnerze? — spytał obojętnym tonem — widać jak ciężkie masz sumienie, skoro chęć dostania cygar z szuflady bierzesz za zamiar zabicia cię. Co mię może obchodzić zresztą Milly, która od kilku już lat nie żyje. Nie lubię rozczulać się wspomnieniami.

— Wierzę, zwłaszcza takimi, które panu przywodzą na myśl, jakto dla zagarnięcia posagu żony i zużytkowania go dla pięknej kochanki, straciłeś ją z mostu do Tamizy, a dziecko twoje i jej oddałeś fabrykantce aniołków, gdzie w kilka miesięcy zmarło. Ale... nie rób sobie nic z tego profesorze, słyszałem już nieraz o podobnych łotrostwach, więc i twoje mnie nie dziwi. Jednak... wracając do Harwicka... Czy przypominasz sobie profesorze tego młodego człowieka, który był po uszy zakochany w pannie Worth i któremu ją odbiłeś? Okazałeś wtedy dużo sprytu, bo gdyby było szło na rozum, to twój przeciwnik miał go więcej w palcu, niż ty w głowie — ale ty miałeś lepsze i modniejsze ubranie, tak że właściwie panna Worth powinna była dostać się twemu krawcowi a nie tobie. Po waszym ślubie, usunął się ów młodzieniec i żył odtąd w samotności, unikając ludzi i wielkiego miasta. Dopiero po śmierci biednej Milly obudziła się w nim dawna miłość, znosił na jej grób kwiaty, a że nikt więcej o nią się nie troszczył, przesiadywał tam całymi godzinami, pogrążony w taką zadumę, że stróż cmentarny musiał mu kilka razy przypominać, iż czas już iść do

domu, bo bramy zamykają. Wtedy, tak jak dziś jeszcze, wierzano, że pańska żona sama odebrała sobie życie, a jednak — choć i dzienniki tak pisały, on nie wierzył, i pewnego razu zawołał mię do siebie i prosił o dowiedzenie się prawdy. Udałem, że zacząłem poszukiwania, choć dawno wiedziałem o wszystkim i po kilku dniach zdałem mu relację o zajściu. Był nią tak przejęty, że płakał jak dziecko i nie mógł się uspokoić — później straciłem go na dłuższy czas z oczu, aż wreszcie dowiedziałem się, że zamieszkał w A... i że znają go tu pod nazwiskiem Harwicka.

— Co, on wie także o wszystkim? — zawołał profesor, zapominając, że przed chwilą grał rolę naiwnego.

— Z całą dokładnością, bo opisałem mu wypadek aż do najmniejszych szczegółów, co mi tem łatwiej przyszło, że podczas twojej ostatniej rozmowy z panią Milly leżałem za balustradą i widziałem wszystko, co się działo na moście.

— I ty oddałeś mu tę tajemnicę za darmo? — ja dałbym ci za nią trzysta funtów! — krzyczał profesor, uderzając pięścią w stół.

— Żal mi się zrobiło chłopaka, a wiesz profesorze, że, choć nie potrafię być tak czułym jak ty, serce mam dobre a wątrobę wprost bez zarzutu, jak mi to zresztą mówił internista wtedy jeszcze, gdy byłem słuchaczem medycyny.

— Dość już tego! — zawołał profesor — czy Harwick wie, czy nie wie, nie zależy mi dziś na tem, skoro zdobędę jego wynalazek; pan, panie Resturnerze mi w tem dopomożesz! Za skuteczne wykonanie rabunku płacę tysiąc funtów, a potem Harwick musi zniknąć! czy mię pan rozumiesz!

— Do pierwszego mogę się najać, bo to nie obraża moich poglądów na prawo własności, jednak nie za pieniądze, ale za cenę wydania mi testamentu pańskiej żony.

— Na taką nagrodę się nie zgadzam, zresztą Milly

nie robiła żadnego testamentu, bo będąc bardzo młodą, nie spodziewała się śmierci. Wszystko, co po niej zostało jest moje i rozporządzę tem jak zechcę!

— A ja jednak nie cofam swego żądania i jestem pewny, że je spełnisz. Posłuchaj profesorze i zastanów się, co robisz. Czy to tak duża zapłata za to, że cię na jakiś czas uchronię od stryczka? Licz sam, ile ty pozycji tym świstkiem zapłacisz: Mój udział w rabunku, milczenie o rodzaju śmierci twojej żony i w sprawie zamierzonego przez ciebie zabicia Harwicka. Za to wszystko żądam pół arkusza papieru. Taniej nie kupisz chyba niczego.

— Twój rachunek, to szczyt podłości! — wrzeszczał profesor, wygrażając pięściami.

— Szczyt podłości czy nie, to obojętne, zawsze to jeszcze mniej, niż mordowanie bezbronnych kobiet — odparł spokojnie Resturner — a zresztą możesz sobie zachować testament, znajdzie go u ciebie policja, gdy jej opowiem, co za wychowawcę posiada w twojej osobie oksfordzki uniwersytet. Uniżony sługa pana profesora. —

— Idź, dokąd chcesz, nie boję się twojej groźby, sam poszedłbyś do więzienia, a mnie nicby się nie stało. Na świadectwo laża opryszka nikt nic nie daje — rzekł Browing w najwyższym oburzeniu.

— Spróbujemy, dla jakiego rodzaju opryszków sąd jest bardziej wyrozumiały. Do widzenia w biurze policji! — rzucił ironicznie Resturner i skierował się ku drzwiom. Wtej jednak chwili rozległ się strzał, a kula utkwiała tuż obok niego. Resturner pochylił się, i zasłaniając się ręką, rzucił się ku profesorowi, który nie przestawał doń mierzyć z niewielkiego browninga. Padł znów strzał, tym razem godząc Resturnera, który zwałił się z łoskotem na ziemię, wywracając po drodze mały stoliczek z kwiatami od pani Klewelton. Profesor postąpił kilka kroków naprzód i stanął nad swą ofiarą. Otwór na kurtce i kilka kropli krwi sączących z niego, wskazywały na celność strzału. Kula trafiła, sądząc z zewnętrznych oznak, w okolicę serca.

Resturner zatem już nie żył. Leżał bładny z bezwładnie rozkraczonymi nogami, a ręka lewa przy twarzy, tak jak ją trzymał wtedy, gdy odruchowo zasłaniając się przed strzałem, podchodził do profesora. Browing wpatrzył się w sączącą się krew i stał nieruchomy z wyrazem strasznej trwogi i pomieszania. W tej chwili nie zdawał sobie sprawy z uczynku, widział trupa, ale nie mógł sobie przypomnieć, co go z nim łączy. Dopiero, gdy skierował oczy na rewolwer, przypomniał sobie zajście. Cisnął więc broń daleko od siebie i zaczął porządkować w głowie momenty wypadku. Trwało to chwilę, poczem obawa wzięła górę nad wszystkim. Wtem Resturner drgnął, i zanim profesor mógł się opamiętać, dostał tak silne uderzenie pięścią w głowę, że upadł na ziemię i stracił przytomność. Małe drzwiczki tapetowe były otwarte, a nad Resturnerem pochylał się jakiś wysoki mężczyzna, o silnym czarnym zaroście i czarnych okularach na oczach. Gdy profesor przyszedł do siebie, nie było już nikogo w pokoju, a tylko zbity flakon i rozrzucone po podłodze kwiaty, świadczący o niedawnej scenie.

V.

Zgiełk w szynku pod capem nagle ustał, goście trwożnie spojrzeli po sobie i zaczęli spiesźnie ukrywać przed chwilą dobyte z tłumoczków przedmioty pod płytami stołów i stołków, osobno w tym celu zaopatrzonych w niewidoczne, dla nieobznajomionego z tajemnicą, zakrzywione żelazne przytrzymywacze. Od okna, opatrzonego w ciężką okiennicę, słychać było tymczasem coraz gwałtowniejsze pukanie. Okno to wychodziło na ulicę Oliverstritt tak, że leżało prawie na poziomie chodnika. Gospodarz podszedł do okna i, nie uchylając okiennic, zaczął nadśłuchiwać. Powtórzyło się znów pukanie, naprzód jedno silne uderzenie, potem, po chwili ciszy, cztery dalsze bezpośrednio jedno po drugim, wreszcie, znów za kilka sekund jeszcze jedno. Nasi! — odezwał się gospodarz do towarzystwa i poszedł otworzyć bramę do podwórza, a stamtąd do suteryn, gdzie po schodkach schodziło się do jego szynku. Wrócił w towarzystwie niskiego, krępego mężczyzny, o szerokiej twarzy i silnych kościach policzkowych. Przybysz wszedł pewnym krokiem i, wybierając miejsce na ławie w najbardziej odległym punkcie izby, rzekł do gospodarza wskazując na sąsiadów.

— Ta ławka ma być wolna! Wyrzuć tych darmozjadów, a potem idź przynieść whisky!

Gospodarz, z którego miny poznać było, że niezbyt chętnie spełnia żądanie nowoprzybyłego, zaczął przeproszać gości, by powoli skłonić ich do zmiany miejsca.

Przybyły tymczasem nie należał widać do ludzi obdarzonych stoicyzmem. Pertraktacje irytowały go, opór zaś gości drażnił, porwał się więc z miejsca i odtrącając gospodarza, krzyknął krótkim, rozkazującym głosem:

— Idźcież do diabła na inną ławkę, ścierwa przekłete! ile wam razy trzeba mówić? a ty przynieść whisky, rozumiesz! — krzyknął zwracając się do gospodarza.

Goście, choć z twarzy ich widać było, że nie należą do tchórzów, gdy spotkali się z ognistem, przenikliwym spojrzeniem nowoprzybyłego, zabierali się do odejścia mruczając coś pod nosem, a tylko jeden z nich najmłodszy, nie okazując chęci do posłuchu, próbował coś odpowiedzieć. Ale inni nie pozwolili mu przyjść do głosu i odciągnęli za sobą.

— Z Resturnerem chcesz zacząć ty zieleniaku? — szepnął mu jeden do ucha — nie znasz go?

To wystarczyło, ławka była próżna, a Resturner rozsiadł się na niej wygodnie, oczekując przybycia gospodarza z zamówioną wódką. Choć w szynku był ścisk niedoopisania, do ławki tej nikt się nie zbliżał. Była trzecia nad ranem, gdy znów rozległo się pukanie do okna i do lokalu weszło dwu mężczyzn, pierwszy w brunatnej pelerynie, drugi wysoki chudy, o czarnych dużych szklach na oczach. Zobaczywszy Resturnera skierowali się wprost do niego i zasiedli przy nim.

— Djabło zimno — odezwał się pierwszy — słuchaj Res! dawno tu czekasz?

Godzinę, ale też nie myślałem, że będziesz tu jechał na ślimakach. Czyś pan, Harwicku, przyjechał dopiero do Londynu?

— O nie — odrzekł człowiek w pelerynie — jestem w mieście już od dwu dni.

— A gdzież do diabła dotąd obracałeś się pan? — zapytał niecierpliwie Resturner — codzień zachodzę tu o umówioną godzinie i gdybyś pan jeszcze dzisiaj się nie pokazał, mógłbyś mię szukać długo, nimbyś mię znalazł.

— Musiałem przecież wszystko przygotować i przyszedłem, gdy dla pana zostawało tylko wprowadzenie w ruch naszych planów.

— To dobrze — odrzekł Resturner — człowieka mam i jestem pewny, że się uda, czekać będzie na nas co dnia o 5-tej rano w zielonym domu. Pan znasz ten dom? — dodał zwracając się do Harwicka.

— Tak, z przed kilku miesięcy — ale czy wybrany przez pana nie zawiedzie?

— Ja nie polecam nikogo, za kogo nie mógłbym ręczyć, jestto stary mój znajomy. Zresztą, nie dla pańskich pięknych oczu przystąpi do zabawy, trzeba mu pieniędzy i basta, a za co je dostanie, to mu obojętne.

— Czy zwierciadło, zamówione dla profesora, już gotowe? — spytał Resturner zwracając się do człowieka w czarnych okularach.

Ten nie odrzekł ani słowa, ale tylko skierował wzrok na pytającego. — Więc aż sześć funtów liczy sobie za to, że pozwala komuś z naszych odnieść je do profesora? Czuje widać, że bardzo nam na tem zależy. Ale zapłacić trzeba, prawda? — dodał, zwracając się do Harwicka.

Oto są — odpowiedział zapytany — dobywając banknoty z grubego żółtego portfelu.

Człowiek w okularach niemy ruchem schował pieniądze, a między Harwickiem a Resturnerem zaczęła się jakaś długa rozmowa szeptem, w której Harwick miał pierwsze skrzypce.

— Nie może być nic lepszego, wszystko jest tak obliczone, że się musi udać — zawołał rozentuzjasmowany Resturner — a więc dziś się zaczyna!

Tymczasem whisky krążyła ustawicznie między rozmawiającymi, w szynku robiło się coraz przestronniej, a gdy zegar wieżowy wydzwonił czwartą, Harwick zapłacił za siebie i Resturnera i wszyscy trzej wyszli, na przodzie człowiek w czarnych okularach.

Szli wązkimi uliczkami, unikając lepiej oświetlonych

placów i trzymając się stale blisko murów, na których brudno-szarym tle zupełnie znikali. Jedno słowo nie padło między nimi, postępowali w zupełnem milczeniu, często chyłkiem i przyspieszonym krokiem. U wylotu jednej z wąskich uliczek, zatrzymał ich przewodnik i wskazał ręką w kierunku jakiejś szerokiej, jasno oświetlonej ulicy. Wszyscy skierowali wzrok w tę stronę.

— Patrz pan — odezwał się Resturner, trącając Harwicka — stoi tam jasno popielate auto, zaczekajmy chwilę, profesor wyjdzie zaraz od pani Cobblehill.

— I on także w Londynie? — spytał szeptem Harwick.

Nikt mu nie odpowiedział i wszyscy trzej, przylepiwszy się prawie do ściany, wpatrywali się w dom kochanki profesora. Za chwilę dał się słyszeć zgrzyt klucza, a z otwartej bramy wysunął się Browing, i szybko wsiadłszy do auta, znikł z nim w cieniach nocy.

— Bydłę! — syknął Harwick i z wyrazem najgłębszego bólu chwycił Resturnera tak silnie za rękę, że ten aż krzyknął.

Mężczyzna w okularach zdawał się nie brać w niczem udziału — stał wyprostowany, wpatrzony w próżnię. Dopiero krzyk Resturnera, zwrócił jego uwagę na resztę towarzystwa. Niemym giestem wskazał obu dalszą drogę i sam ruszył z miejsca. Resturner i Harwick postępowali za nim, niezdolni do jakiegokolwiek oporu wobec niego, i w niespełna piętnaście minut stanęli przed bramą zielonego domu, małej na zielono pomalowanej, nawpół zapałej w ziemię chatki. Resturner znał widocznie dobrze ten przybytek, bo nie biorąc za klamkę, bez namysłu przycisnąwszy wszystkimi palcami boczny wkład drzwi, usunął go ku górze i przez powstałą szparę wglądnął do środka. Tymczasem w domu dzwonił na alarm dzwonek, widocznie połączony z wkładem, a mała jakaś postać, odsunawszy ciężki rygiel, wpuściła przybyłych do ciemnej wilgotnej sieni, a stamtąd do bocznej, słabo oświetlonej izby. Gospodarz był karłem, o dużym garbie i wielkiej głowie, z dziwnie okrągłemi oczyma.

— Jak się masz Tidneyu — przemówił Resturner, podając gościowi swą potężną łapę — przyprowadziłem ci dobrych przyjaciół i jestem pewny, że potrafisz spełnić, czego od ciebie zażądają.

— Być może, być może, człowiek dla człowieka może być pchłą albo tygrysem, ale nigdy gołębiem, trochę krwi trzeba zawsze oddać — zapiszczał w odpowiedzi karzeł.

— Czy wiesz co masz robić? zapytał znów Resturner.

— Wiem, boś mi mówił, ale czy ty wiesz coś mówił, tego ja nie wiem — odpowiedział karzeł.

Resturner uważał wobec tego za stosowne powtórzyć jeszcze raz swe zlecenie dla małego człowieka.

— Ten pan w żółtej pelerynie nazywa się Harwick — on ci zapłaci, jeśli nie będziesz filozofował ale robił co ci każe. Słuchaj więc uważnie. Ten pan drugi w czarnych okularach przyniesie ci dzisiaj o dziesiątej zwierciadło; zatrzymasz je u siebie, a potem gdy przyjdzie pan Harwick, wyniesiesz się do drugiej izby, a jemu odstąpisz swoją i nie wejdziesz tam, aż cię zawoła. Dalsze rozkazy on ci da. Rozumiesz?

— Być może, być może — zapiszczał znów karzeł.

— Co za „być może“ — wrzasnął zniecierpliwiony Resturner — tak być musi! rozumiesz?

— Być może, że tak być musi — odpowiedział człowieczek — a... ile dostanę od pana Harwicka?

— Nie wielka twoja robota, więc nie licz na bardzo wiele — wmieszał się Harwick — zresztą, nie wiesz czego jeszcze od ciebie zażadam.

— Być może, być może, pogodzimy się, ale mała robota kosztuje więcej niż wielka. Za funt dostanie dużo węgla, ale złota tylko kawałeczek — odpowiedział Tidney.

— Czekaj więc o dziesiątej, a teraz bądź zdrów — rzekł Resturner i skierował się ku wyjściu, pociągając za sobą towarzyszy.

Punktualnie o dziesiątej zjawił się u karła człowiek w okularach i oddawszy mu nieduże prostokątne zwier-

cia dło, odszedł. Karzeł z zaciekawieniem zabrał się do oglądania przedmiotu. Na ramce zainteresowały go szczególnie opale, stanowiące środek dwu brązowych kwiatów, zwieszających się na samo szkło, oplecione girlandą liści i gałązek z jakiegoś białego polerowanego metalu. W jednym miejscu ramki widniał złoty monogram B. K.

— Być może, być może — szeptał karzeł do siebie, patrząc na monogram. „B“, to monogram profesora, ale „K“, wszak mu na imię John!... Do kogo należy ta druga litera?

Utopił we włosach cienkie palce i zaczął niemiłosiernie drapać się po głowie, chcąc ją widzieć w ten sposób pobudzić do myślenia.

— Mam cię! — krzyknął zadowolony — to przecież prezent od pani Klewelton. Być może — głupia baba, aż w Londynie zamawia prezenta i myśli, że ją jedną ma na świecie. Ale co mi tam — szepnął i znów odłożył zwierciadło.

Za chwilę usłyszał dzwonięcie. Poszedł otworzyć drzwi, a do izby wszedł Harwick. Karzeł zostawił go w izbie, a sam przeniósł się do przeciwległej ubikacji i oparłszy głowę na dłoniach, popadł w głęboką zadumę. Harwick tymczasem wziął zwierciadło do ręki, obejrzał kilka razy ze wszystkich stron, wreszcie, dobywszy drobnych szczypek z kieszeni, poodginał zrecznie łapki, stanowiące oprawę środkowego opalu i włożył zamiast niego inny, zalepiony czarnym papierem. Dokonawszy tego, położył zwierciadło na stole i szybko oddalił się w kierunku drzwi. Ale tuż przed niemi zatrzymał się i opuściwszy głowę na piersi, wrócił znów na dawne miejsce.

— Jeszcze raz tylko — jęknął i zerwał papier z opalu. W tej chwili przesunął się po ścianie cień młodej dziewczyny o długich rozpuszczonych włosach, i kładąc Harwickowi ręce na rozpalonej głowie, przytulił się do jego twarzy.

— Droga moja dziewczeczko! — szeptał Harwick — zostań ze mną, nie odchodź, albo weź mię ze sobą! Nie mogę żyć bez ciebie, ginę!

— Zimne fale mem mieszkaniem, nie mogę ciebie przyjąć, idź tam, gdzie moje dziecko, odnajdź je pod zieloną ɔarniǎ i powiedz, że płaczę — płaczę nad niem, nad sobą i wami! — odezwał się głuchy głos w izbie.

W tej chwili cień zniknął, a Harwick blaɔy, z obłąkanym wzrokiem, z wyciągniętymi w próżnię rękoma, stał, głośno łkając. Trwało to dość długo, aż wreszcie obudziły go z tego stanu kroki karła, zaciekawionego tem, co usłyszał w izbie. Harwick szybkim ruchem pochwycił zwierciadło i dobywając ɔrugi kawałek czarnego plastra, zalepił powtórnie opal i rzekł do wchoɔzǎcego.

— Pojeɔdziesz zaraz do Oksfordu i zanieziesz zwierciadło profesorowi Browingowi. Wiesz gdzie mieszka. Oznajm mu, że przesyła to pani Klewelton. Oddać ci wolno tylko samemu profesorowi do ręki i to nie w przedpokoju, ale tylko w jego własnej pracowni. Powiesz, że ci kazała pani Klewelton postawić je na biurku profesora i musisz to spełnić. Browing nie będzie ci przeskaɔdzał. Gɔy to zrobisz, oɔerwij szybko plaster z opalu i znikaj, nie zatrzymujǎc się ani na chwilę. Rozumiesz? Czy potrafisz to zrećznie wykonać?

— Być moŔe, być moŔe — zapiszczał karzeł — ale dziesięć funtów moje?

— Dostaniesz, lecz nie baw się długo; pociąg oɔchodzi za goɔzinę, jutro masz być z powrotem w Londynie. Profesora zastaniesz juŔ w domu. Bǎɔź zɔrów, a wracaj!

Za chwilę karzeł znikł, a Harwick sam został w zielonym domu.

VI.

Profesor kończył właśnie wieczorną toaletę, gdy karzeł wniósł zwierciadło i sprawiwszy się tak, jak mu kazano, znikł, zerwawszy poprzednio przystłaniający opał kawałek czarnego papieru. Browing wziął je do ręki, oglądał starannie szczegóły po szczególe, wreszcie wzrok jego spoczął na opalu. Gra barw, a bardziej jeszcze jakaś dziwna siła przykuła go do niego. Wracał doń ciągle i wpatrywał się weń z takim zajęciem, jakgdyby świat cały zawisł na tym kawałku kamienia. Czuł, że dokonuje się w nim jakaś zmiana, że pani Klewelton rozplywa się w jego pamięci w mgłę bez barw i kształtu, że jej miejsce zajmuje jakaś inna kobieta, o oczach tak głębokich i smutnych, iż ginęła w nich wszelka iskierka chęci do życia i nadzieja przyszłości. Skąd znał tę postać, nie wiedział; zdawał sobie jednak sprawę, że nie była mu obcą i że silne jakieś przeżycia grupowały się niegdyś koło niej, przeżycia dziś już nieokreślne, przejmujące go lękiem i smutkiem. Profesor bał się tych uczuć, wyprowadzały go one z równowagi, z sybarytyzmu, w którym mu tak wygodnie płynęło życie. Nie mogąc oderwać się od spoglądania na kamień, i coraz silniej odczuwając kontrast między powstającym pod jego wpływem nowem uczuciem a stosunkiem swoim do pani Klewelton, Browing próbował się bronić przed sobą, usuwając powód do wewnętrzznego dyssonansu. Z pasją zniszczył monogram na zwierciadle, a fotografię pani Klewelton, którą starannie ze

względu na osobistą przyjemność jej oryginału, przecho-
wywał w biurku, wrzucił do kosza z papierami, pokra-
jawszy nożyczkami w najdrobniejsze strzępy. A jednak
zjawia nie ustępowała. Teraz już bez względu na to, czy
miał opał przed oczyma, czy nie, szła za nim krok w krok,
budziła go ze snu, towarzyszyła mu na wykładach, była
z nim wszędzie i zawsze, a jej głębokie, bezdennie smutne
oczy, niszczyły w nim wszelką energię i zapal do pracy.
Niezdolny dotąd do wgłębiania się w marzenia, Browing
przesiadł obecnie całemi godzinami w swym fotelu,
z opuszczoną bezwładnie głową i dumał. O czym, sam
nie wiedział. Otaczający go świat ginął dlań w takich
chwilach, a z nieskończonej nicości dostrzegał tylko ciągle
tę parę smutnych oczu. Wreszcie postanowił wyrwać się
z tego stanu, samoobrona świadomości kazała mu działać,
by nie popaść w szaleństwo.

Wyjechać z Oksfordu wydawało mu się najlepszem
lekarstwem. Udał się do Londynu, by rzucić się w wir
zabaw, mających mu dać zapomnienie. Bez zawiadamiania
kogokolwiek wsiadł do pociągu, i przybywszy na miejsce,
wprost z dworca udał się do znanego mu dobrze kaba-
retu. Przyszedł za późno, bo właśnie kończyło się przed-
stawienie. Usłyszał tylko ledwie ostatnią zwrotkę pieśni,
recytowanej przez jakąś młodą tancerkę. Browing nie
widział jej prawie, gdyż kabaret był tak zapełniony ludźmi,
że dostało mu się ledwie ostatnie miejsce. Kiedy jednak
tłum gości zaczął rzednąć i gdy spojrzał na scenę, po-
czuł, że stamtąd spoglądają na niego te same oczy, które
go ciągle prześladowały. Zjawia ucieleśniła się pod po-
stacią kabaretowej śpiewaczki, a Browing tak dalece był
pod jej wpływem, że gdy przedstawienie skończyło się, po-
stanowił na nią zaczekać na ulicy. Wyszedł więc i stanął
pod bramą. Noc była zimna, iskrząca się od gwiazd. Od
odejścia z kabaretu ostatniego widza upłynęło już sporo
czasu, ale profesor cierpliwie czekał dalej. Wreszcie wy-
szła. Bez towarzystwa, sama jedna, w gęstej, przysłania-

jacej twarz woalce, w czarnym długim płaszczu, smukła i elastyczna w każdym ruchu, jakby wycięta z nastrojowego obrazu. Twarzy jej Browing nie widział, a jednak czuł, jak z poza gęstej zasłony spoglądały na niego nieruchomo smutne, głębokie oczy. Podeszedł do niej i skłoniwszy się, wybąknął jakąś formułkę towarzyską. Skinęła mu lekko głową i podała delikatną, ubraną w czarną rękawiczkę, drobną rękę. Odtąd szli obok siebie, dokąd, Browing nie wiedział, nie zamienili z sobą ani jednego słowa, szli w zupełnem milczeniu, oboje istniejący dla siebie jako całość, jednak obcy w poczuciu własnego zadumania. Profesor chciał kilkakrotnie zatrzymać się i przemówić, bo długość marszu, wśród zupełnie nieznanym mu dzielnic Londynu, niepokoiła go, ale zawsze kończyło się na chęciach, głos grzął mu w krtani, a jakiś wewnętrzny rozkaz zmuszał go do postępowania dalej za tajemniczą przewodniczką. Na moście na Tamizie towarzyska zatrzymała się. Browing zrobił to samo. Było tak pusto, jakby wszelki ruch na ulicach zupełnie wymarł. Przedzierające się przez gęstą mgłę, podnoszącą się nad rzeką światło wielkiej łukowej lampy, oświetliło twarz śpiewaczki. Profesor wpatrzył się w nią i równocześnie poczuł, że go silnie chwyciła za rękę.

— Boję się ciebie Johnie... jakiś jesteś dziwny! chodźmy ztąd! — przemówiła, tuląc się do niego.

W tej chwili gęsta zasłona spadła z jej trupio bladej twarzy, na której głębokie, ciemne oczy zaczęły tracić połysk i gasnąć w szklistem odrętwieniu.

— Milly, to ty?! — krzyknął Browing, poznając, że przed nim stoi jego żona, którą temu lat kilka zepchnął w nurty Tamizy.

— Chcę żyć! bierz wszystko, ale nie zabijaj mnie! Biedne moje dziecko! — załkała żjawa.

Lecz profesor nie dosłyszał już ostatnich wyrazów, uczuł ściśnięcie w gardle, krew uderzyła mu falą do głowy, a gdy się potem cofnęła, zostawiając zupełną w niej pustkę,

upadł zemdlony na biały całun śniegu. Pod nim przelewały się wody Tamizy, mętne i ospałe, wlokące swą wieczność w niezgłębiony bezmiar świata. — Gdy Browing ocknął się z omdlenia i otworzył oczy, miał wrażenie, że widzi pochylającą się nad sobą postać tego samego dziwnego nieznanego w czarnych okularach, z którym się spotkał podczas walki z Resturnerem. Postać ta jednak znikła natychmiast. Profesor rozglądał się na wszystkie strony, chcąc dowiedzieć się, gdzie się znajduje. Szary poranek wglądał przez malutkie okienko, oświetlając wilgotną, okopconą ścianę, na której zarysowała się jeszcze niewyraźnie głowa niezgrabnie wyciosanego capa. Dusząca woń lichego tytoniu i whisky, naprowadziły profesora na to, że jest w jakiejś trzeciorzędnej knajpie, z której dopiero przed chwilą wyszli zapewne bardzo podejrzani goście. Jakim sposobem tu się dostał, nie mógł sobie zdać sprawy. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie swą wędrówkę po ulicach Londynu, zjawienie się Milly, nawet jej słowa, ale wszystko co nastąpiło potem, uleciało z jego pamięci. Logika kazała mu dopatrywać się związku przyczynowego między swoim znalezieniem się tutaj, a wysokim mężczyzną w czarnych okularach. Kim on jednak był, skąd przyszedł na most na Tamizie, pojąć tego nie mógł. Pamiętał, że go już raz widział, że jest identycznym z tym, który nagle zjawiwszy się w jego pokoju, powalił go uderzeniem swej potężnej pięści — jednak wszystko to nie uchylało najmniejszej zasłony z tajemnicy, jaka otaczała tę dziwną postać. Zjawienie się gospodarza nie przyczyniło się także do rozjaśnienia zagadki. Przeczył, aby widział kiedykolwiek takiego człowieka, tłumaczył się, że w takim tłumie gości, jacy odwiedzają jego lokal, nie mógł zauważyć kto wchodzi i w którym towarzystwie, wogóle nie umiał powiedzieć, w jaki sposób profesor tu się znalazł. Browing wracał prędko do siebie. Szklanka gorącego grogu dopomogła także nie mało naturze, i w krótkim czasie mógł opuścić lokal, od-

prorowadzony aż do bramy przez gospodarza. Po takich przygodach, profesor syty Londynu, powrócił najbliższym pociągiem do Oksfordu, gdzie go oczekiwał list od pani Klewelton, zaniepokojonej jego nieobecnością.

VII.

— Cudowny wynalazek, ten pański opal, panie Harwiku. Nie mogę wyjść ze zdziwienia, jak potrafił omamić profesora. To było widowisko, jakiego się często nie widzi, — entuzjazmował się Resturner, giestykulując rękoma.

— Skądże znalazłeś się pan odrazu przy moście na Tamizie i kto wam powiedział o przybyciu Browinga do Londynu? — spytał Harwick.

— Kto! A czyż pan nie wie, kogo mamy między sobą za sprzymierzeńca? — Czy pamięta pan tego wysokiego mężczyznę w czarnych okularach, który z nami siedział w szynku pod capem? Od niego wiem już o niejednym kroku profesora — powiedział Resturner.

— Kimże on jest? przyznam się, że dziwna jakaś postać. Nie słyszałem nigdy słowa z ust jego, a wygląd ma taki, że patrzącemu się na jego twarz wydaje się, jakby poza jego czarnemi szklami nie było oczu, tylko jakieś bezdenne jaskinie. Powiedzże mi pan nieco o nim — prosił Harwick.

— Alboż ja wiem sam co o nim. Poznałem go przypadkiem. Jeszcze temu kilka lat, gdy siedziałem najspokojniej w szynku pod capem i popijałem whisky, przystąpił do mnie, i nie mówiąc nic, ujął mię za rękę i poprowadził do mostu na Tamizie, robiąc mię świadkiem sceny, jaka rozegrała się tam między profesorem a jego żoną. Od tego czasu nie widziałem go, czułem jednak, że gdyby kiedykolwiek znów się zjawił, musiałbym być

mu taksamo posłusznym, jak wtedy, gdy bez oporu dałem się mu jak dziecko prowadzić ku mostowi. Wiem, że wtedy, spojrzawszy na mnie, wzbudził we mnie wątpliwość co do śmierci synka Milly. Za jakiś czas znów się zjawił, gdy postrzelony przez profesora, poraz pierwszy otworzyłem oczy w zielonym domu, gdzie opiekował się mną nasz karzeł. Widziałem go ledwie przez mgnienie oka, bo znikł jak kamfora; potem był w szynku pod capem i on to załatwił sprawę zwierciadła u rzemieślnika, który je oprawiał. Wczoraj zaś przyszedł znów do mnie i, jak za pierwszym razem, chwyciwszy mię za rękę, poprowadził znów ku mostowi. Przez cały czas nie przemówił ani słowa, a gdy stanęliśmy za szerokim słupem u wejścia na most, zmusił mię ściśnięciem ręki do przykucnięcia na ziemi i znikł, zostawiając mię samego. Byłbym zapewne skorzystał z wolności i wrócił do domu, gdybym nie był dostrzegł profesora. Szedł dość szybko z ręką sztywnie opuszczoną tak, jak się ją trzyma, gdy nas ktoś prowadzi, poczem stanął na moście i wykonał kilka dziwnych ruchów, świadczących o silnem wzburzeniu i krzyknawszy „Milly to ty?” — runął na ziemię. Widziałem wszystko dokładnie i chyba profesor zwarjował, bo nikogo obok niego nie było.

— Czemu nie podeszedłeś pan do Browinga, gdyś pan widział, że upadł zemdlony? — spytał Harwick.

— Dlaczego? — odrzekł Resturner — bo nie mogłem. Ledwie to się stało, wielka lampa łukowa, oświetlająca most, zgasała, i zanim wyznałem się w sytuacji, na moście już nie było nikogo.

— Cóż się stało z profesorem? — może się panu tylko zdawało, że go widzisz?

— Albo ja wiem... — wycedził Resturner — mówił mi jeden z naszych, że spotkał go później leżącego bez życia na ławie w szynku pod capem. Nikt się tam nim zresztą nie interesował, bo do szynku nie wpuszczają nikogo, kto z nami nie trzyma. Nadto myślano, że się spił i odpoczywa.

Dowiaadywałem się u gospodarza, czy nie wie, gdzie się potem podział. Powiedział mi, że zastał go już leżącego na ławce. Profesor mówił z nim, jednak nie był jeszcze zupełnie przytomny, bo ględził coś o mężczyźnie w czarnych okularach, którego w szynku pod capem nikt nigdy nie widział.

— Być może, być może! — odezwał się nagle z kąta piskliwy głosik karła — profesorek poszedł potem na dworzec i pewnie wrócił do domu, nie tyle swojego, ile pani Klewelton.

— A ty skąd znów skrzeczysz? — zawołał wesoło Resturner, udając, że nie dostrzega karła.

— Czy jestem żabą, byś tak do mnie mówił? — być może, być może! — ale tylko dlatego, że w jednym bagnie z tobą siedzę — odciął się garbusek.

— Dobryś! — zawołał Resturner — jednak nie wyobrażaj sobie, że i między żabami byłbyś większym niż wśród ludzi.

— Nie myślę tego — odparł karzeł — trudniej być żabą, niż człowiekiem. Żaba musi umieć pływać, śpiewać i siedzieć w bagnie, a człowiek może nic nie umieć, prócz tego ostatniego, a wtedy mu dobrze i nikt mu nie powie, że jest czemś więcej lub mniej, niż człowiekiem. Prawda, Resturnerze?!

Resturner nie miał jeszcze czasu odpowiedzieć, gdy Harwick, któremu coś nagle wpadło do głowy, zapytał karła.

— Są tu w pobliżu jakie bagna?

— Być może! — odpowiedział karzeł — o kilka mil stąd widziałem wielkie moczary, ale teraz chyba będą zamarznęte.

— Jeśli myślisz o bagnach koło wsi G..., to się mylisz, — odezwał się Resturner — te nigdy nie zamarzają, bo przepływa przez nie ciepłe źródło. A do czego ci to, panie Harwicku?

— Dlaczego się pytam o to, nie łatwo zgadlibyście,

więc wam powiem, a raczej tylko tobie panie Resturnerze, bo nikt więcej o tem wiedzieć nie powinien.

— Być może! — wmieszał się karzeł — być może! że to znaczy, abym ja swoje kości przeniósł do drugiej izby, bo macie z sobą sekreta.

— Naturalnie, idź z łaski swojej do djabła — odpowiedział mu z miejsca Resturner — a idź prędko, bym ci nie musiał pomagać!

Gdy karzeł odszedł, zaczął Harwick swoje opowiadanie.

— Jak pan wiesz, — mówił — synek Milly oddany został po jej śmierci na wychowanie na wieś do jakiejś wstrętnej baby, która zażywała sławy fabrykantki aniołków. Profesor zrobił to rozmyślnie, chcąc się pozbyć także dziecka, na które musiałby przypaść posag Milly, będący wówczas jeszcze w sądowym depozycie. Posag ten chciał Browing zapisać po swej śmierci jednej ze swoich kochanek. Ogólnie twierdzą, że dziecko u baby wkrótce zmarło, a profesor miał nawet wyjeżdżać na jego pogrzeb i przywieść wszystkie papiery, potwierdzające zgon jedy-naka. Dziwnym wypadkiem staw, nad którym leżał mały wiejski cmentarz, gdzie, jak mówiono, dziecko to zostało pochowane, zaczął podchodzić pod grunt i zamienił go wkrótce w jedno wielkie bagno. Wszystkie mogiły zapadły się pod ziemię; zniknął także grób synka Milly. Tyle słyszałem od ludzi, których wysłałem na przyniesienie mi wiadomości o dziecku. Jednak miejscowości, gdzie to się stało, nikt mi podać nie umiał. Gdybym był sam coś wiedział o tem biedactwie, nie byłoby chyba nigdy doszło do tego, ale straciłem łączność ze światem, o istnieniu zaś dziecka dowiedziałem się po jego zgonie — a zresztą — byłem wówczas tak zgębiony śmiercią Milly, że nie potrafiłbym zdobyć się na cokolwiek. Po roku dopiero zacząłem poszukiwania na własną rękę, ale wszystkie bagna, które zwiedziłem, istniały już przed wiekami, takiego jednak, które powstałoby na miejscu dawnego cmentarza i to jeszcze w niedawnym czasie, nie

mogłem się nigdzie doszukać. Wreszcie straciłem wiarę, iż kiedyś uda mi się je znaleźć. Dopiero teraz, gdy Tilly zaczął filozofować, przyszło mi na myśl, czy on nie wiedziałby czegoś, po czem mógłbym dojść do kłębka tajemnicy. Ponadto wie pan, że jestem fatalistą, wierzę w przypadki, które są niemi dla nas tylko dlatego, że nie umiemy odnaleźć ich związku z innymi faktami. Możliwe, pomyślałem sobie, że los mi właśnie w tej chwili przyniósł jakieś wyjaśnienie zagadki.

— Więc chcesz pan, panie Harwicku, iść badać bagno, o którym mówił karzeł?

— Tak, to chciałem powiedzieć, wierzę, że jest ono właśnie tem, którego szukam. Ale proszę pana o towarzyszenie mi — czy dobrze?

— Czy dobrze? — odrzekł z kolei Resturner — mogę pójść z panem, zwłaszcza, że dziś nie mam nic lepszego do roboty, a bogaci rzeźnicy, których chciałbym skubnąć w karty, przyjeżdżają do Londynu dopiero pojutrze, jednak wiara pańska mię śmieszy. Karzeł palnął bezmyślnie głupstwo, pan uchwyciłeś się go i zacząłeś wierzyć, że ci odkrył wielką prawdę. A ja myślę, że z głupstwa tylko głupstwo powstaje.

— Ale, że nie wiemy co głupstwo, a co prawda, więc wogóle nic nie powstaje prócz tego, co przy zupełnej bezmyślności z naszej strony, przyroda automatycznie nam odsłania. Mówimy wtedy o pomysle, choć stan ten ma tyle z naszym myśleniem do czynienia, ile słoń indyjski z podbiegunowym pingwinem. Wiem, że bagno o którym mówił Tilly, nie zawiedzie mnie. Mam z sobą mój aparat i zobaczy pan niejedno, czegoś dotąd nigdy nie widział. Jutro idziemy, zgoda? — spytał Resturnera.

— Jutro już nie, chyba zaraz, — odrzekł Resturner, — ale dziś i tak za późno.

— Tak, dziś nie zdążylibyśmy niczego załatwić, a ponieważ pan jutro także iść nie może, więc wybierzemy się w przyszłym tygodniu — ustępował Harwick. —

A wreszcie — dodał — trzeba by się trochę zastanowić, bo do bagna ma być przecież kilka mil, a koleją tam nie dojedziemy.

— Zaczynamy planowo się cofać — zaśmiał się Resturner — wiara, wiara, a obawa przed zamoczeniem nóg w bagnie, swoją drogą. Ktoś z nas stał się niedowiarkiem.

Harwick zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby się zaczął tłumaczyć, musiałby postąpić przeciw swemu obecnemu przekonaniu; czuł, że Resturner ma rację, zarzucając mu chęć wycofania się z awanturniczej wyprawy. W tej chwili nie miał już najmniejszej nadziei odszukania grobu malca, wiara jego znikła również szybko jak powstała tak, jak znika para na lśniącej stali.

— Przyroda mówi do nas raz tylko i uchoodzi, jeśli nie weźmiemy się zaraz do czynu, by wykonać jej rozkaz; wraz z jej odejściem, milknie w nas pamięć jej proroczych słów — odezwał się Harwick na wpół do siebie, na wpół do Resturnera.

Ten niezdażył jeszcze odpowiedzieć, gdy drzwi cicho się otwały, a przed zdumionym Harwickiem stanął mężczyzna w czarnych okularach. Twarz jego, dotąd zawsze blada, miała dziś barwę żółto-zieloną, dziwnie odbijającą od gęstego, czarnego zarostu. Podszedłszy do Harwicka, ujął go za rękę i, nie przemówiwszy ani słowa, pociągnął za ząb. Za Harwickiem powlókł się Resturner. Dzwonki alarmowe milczały, gdy wszyscy trzej opuszczali dom. Szli przez ulice Londynu szybkim jednostajnym krokiem, a choć Harwick nie był zbyt silnym piechurzem, nie zatrzymywał się, czując, że wszelkie wyłamywanie się z pod władzy tajemniczego przewodnika, byłoby daremne. Zupełny brak własnej woli i podporządkowanie się instynktownie odczutomu rozkazowi dziwnego nieznajomego, opanowało nie tylko Harwicka ale i Resturnera. Minęli odległe przedmieścia i wydostali się po za obręb miasta. Tu zatrzymał się przewodnik i spoczęli, poczem ruszyli dalej. Harwick nie przywykły do takich marszów, zbierał

wszystkie siły, by nie ustać w drodze. Przewodnik odczuł to, zwolnił kroku, a gdy spostrzegł nadjeżdżający automobil, rozkazującym gestem zatrzymał go i wsiażdszy sam, wskazał miejsce towarzyszom. Pędzili teraz z szybkością, jaką tylko przy zdobywaniu rekordu wolno było zastosować. Na rozdrożu szofer zwolnił biegu i zamruczał coś o zupełnie innej turze niż ta, którą właśnie robił, ale jedno spojrzenie człowieka w okularach odebrało mu chęć do oporu i posłuszny pomknął wprost przed siebie. W jaki sposób szofer poznał plany przewodnika, nie mógł pojąć ani Harwick ani Resturner. Jedno słowo nie padło przez cały czas z ust tajemniczego nieznajomego, a jednak wszystko mu ulegało. Było już późno, niebo iskrzyło się od gwiazd, gdy szofer nagle zatrzymał auto przed jakąś niską chatą, przylepioną do brzegu ogromnego stawu. Człowiek w okularach wysiadł pierwszy, za nim Harwick i Resturner — szofer zaś, na którego nikt nie zwracał uwagi, zawrócił i puścił się w powrotną drogę. Małe, oświetlone okienka chaty wskazywały, że gospodarz jej jeszcze nie spał. Człowiek w okularach otworzył drzwi, i nie mówiąc nic, wszedł do izby. Za nim wśliznęli się towarzysze. Wszystko to stało się tak cicho i niespodzianie, że gospodarz domu nawet nie odwrócił głowy, gdy wszyscy trzej stali już na środku izby. Chłop był siwy, barczysty i wysoki. Człowiek w okularach wpatrzył się w niego, a pod wpływem jego wzroku, gospodarz błyskawicznie się ogładnął, i zobaczywszy nagle nieznajomych, przybrał tak zabawną minę, że Resturner na jej widok omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. W tej chwili znikł dziwny przewodnik, a Resturner i Harwick zostali sami z gospodarzem.

— Skoro tak wypadło, że musicie o świcie iść na bagna, — odezwał się pierwszy gospodarz, — to was już przenocuję, choć u mnie wygody nijakiej niema. Prostej strawy coś się tam znajdzie, nie takiej jak w mieście, ale zdrowej. —

— No i do tego dużo! — wtrącił Resturner, którego apetyt zaostrzyła daleka wycieczka. — A kto wam powiedział, że mamy o świecie iść na bagna? — spytał, zwracając się do chłopca.

— A kto mi miał powiedzieć? — jakoś mi to samo przyszło do głowy, kiedy ten pan w czarnych okularach spojrzał na mnie. Wtedy także coś mi tknęło, że mam wam dać nocleg i strawę. Ale gdzie on się podział? — zwrócił się z zapytaniem do Harwicka.

Harwick stawiał sobie przed chwilą to samo pytanie, ale, że odpowiedzi na nie nie mógł znaleźć, a nie chciał przed chłopcem z tem się zdradzać, wyminął zręcznie odpowiedź, kierując rozmowę na inny temat. Ale chłop nie dał się zbić z tropu i mówił dalej.

— Dalibóg... dziwny to jakiś człowiek; mam już ośmdziesiąt lat, świata widziałem dużo, bo i w Indjach byłem i w Ameryce, niejedna kula przeleciała mi koło uszu podczas walk w naszych koloniach, ale kogoś takiego, jak on, nigdy nie spotkałem. Którędy tu wszedł, skoro drzwi były zamknięte na żelazny rygiel od wewnątrz? Zawsze tak skrzypią, jakby cała muzyka grała, a dziś ani nie świrkło w zawiasach. A patrzyli panowie na jego oczy? Zdawało się, że ich nie miał, ale gdy na mnie spojrzał, to tak, jakbym miał przed sobą dwie głębokie studnie. — Którędy on mógł wyjść? Znikł jak kamfora, a drzwi i okna ani się nie odchyliły.

— Nie łamcie sobie ojcze głowy, bo i tak nic nie wymyślicie. My sami go nie znamy. Kazał nam iść za sobą i poszliśmy, a że nas tu zostawił, to i tak dobrze, bo gdyby nas opuścił na środku drogi, to nie ruszylibyśmy się z miejsca i tambyśmy nocowali — rzekł Resturner.

— Oj prawda to wielka — ktoby się jemu potrafił sprzeciwić? Chyba coś nieczystego w nim siedzi, bo jak popatrzy na kogo, to choć parę z ust nie puści, wszystko się wie, czego chce i jakby człowieka wołami ciągnął,

idzie się tam, gdzie każe — biadał chłop, drapiąc się bezradnie po głowie.

Na tem zakończono rozmowę, chłop poszedł do kuchni przyrządzić wieczerzę, a po spożyciu jej wszyscy trzej udali się na spoczynek i wkrótce zapadli w głęboki sen.

VIII.

Stykające się z zachodniej strony ze stawem bagno, odbijało wyraźnie od tła otoczenia. Jasna zieleń jego dna i nie zmarznięta woda przypominała wiosnę, gdy tymczasem wszędzie naokoło leżał śnieg iskrzący się i czysty, niepodobny w niczem do tej brudnej płachty, jaką jest w okolicach fabryk i wielkich osad ludzkich. Przez bagno przechodziły groble, umożliwiając pieszą komunikację we wszystkie strony. Harwick i Resturner szli w milczeniu, niepewni, gdzie rozpocząć badania. Nagle Harwick się zatrzymał, i wyciągając aparat z kieszeni, skierował go tuż nad zwierciadło wody. Dno w tem miejscu pokrywała dość bujna roślinność, woda zaś była tak czysta, że mimo głębokości dojrzeć w niej można było każdy najdrobniejszy szczegół.

— Dlaczego właśnie tu stanąłeś? — spytał Resturner.

— Nie wiem, ale chyba tu leży syn Milly — odpowiedział Harwick i, nie wdając się w dalszą rozmowę, przycisnął guziczek aparatu.

Rozległ się szum pospiesznie pracujących kółek, a gdy ustał, z wody zaczęły podnosić się olbrzymie banie gazu i pękać na powierzchni. Banie te, łącząc się z drobniejszymi pęcherzykami, tak szybko występowały jedna po drugiej, że cała woda przybrała barwę mleczną i zdawała się gotować. Resturner patrzył w największem zdumieniu, nic nie rozumiejąc.

— Odbywa się tutaj częściowy rozkład wody — mó-

wił Harwick. Cała jednak woda nie da się rozłożyć, bo z zewnątrz napływa ciągle świeża. O to mi też zupełnie nie chodzi; nie mogę jednakże powiedzieć memu aparatowi, by jedno ciała rozkładał, a drugich nie. On postępuje sprawiedliwie i rozkłada wszystkie. Wkrótce też przyjdzie kolej na coś innego. Przypatrz się pan tym wodorostom, które ruch wody wyrzucił na powierzchnię. Tracą barwę i kurczą się jakgdyby je kto gotował. Za chwilę wypłynie ich więcej, a wtedy zapytamy się ich, co wiedzą.

Harwick się nie mylił. Rozkład wody odbywał się tak gwałtownie, że wkrótce cała ta część bagna, nad którą stali, pokryła się jasno zielonemi roślinami.

— A teraz — mówił Harwick — trzeba w ruch puścić inną część aparatu, i przekręcić górną pokrywę pudełka o pół obrotu na lewo.

Jednostajny turkot był odpowiedzią na ten ruch.

Teraz tylko dwie części wewnętrznego mechanizmu kręca się naokoło siebie tak, jak ziemia naokoło słońca, i jak pan widzi, porosty już nie kurczą się, ale rozpływają w gęstą galarete. Wkrótce zaczną zupełnie znikać. Musimy się na chwilę usunąć, gdyż przy rozkładzie zaczynają się z nich wytwarzać gazy nie bardzo zdrowe dla ludzkiego organizmu.

Odeszli kilka kroków, zostawiając aparat w takim pochyleniu, że wycięte w nim okienko skierowane było wprost na wodę. Po chwili wrócili; z roślin nie zostało nic, a tylko gwałtowne wydzielanie się bąbków gazowych z wody wskazywało, że siła aparatu działała nadal.

— Możemy pójść do domu; nie mamy tu już nic do roboty; skutki eksperymentu dadzą się wszędzie oglądać — rzekł Harwick, zamykając aparat i chowając go do kieszeni.

W tej chwili woda przestała się burzyć, a gdy opadły z niej męty i odzyskała swoją dawną przezroczystość, zobaczył Resturner, że dno było zupełnie wypłewione z roślin, które znikły bez śladu.

— Wszystko to bardzo ciekawe i wogóle pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego, ale choć nic z tego nie pojmuję, bo nigdzie mi nie powiedziano, że jakimś niepozornem pudełkiem można w przyrodzie robić takie wywroty, to jednak wiem tyle, że to samo mogłeś mi pan, panie Harwicku, zademonstrować w pierwszym lepszym basenie w Oksfordzie, Londynie lub nawet w szafliku, my zaś przyjechaliśmy tu dla dowiedzenia się czegoś o synku Milly.

— I jestem pewny, że go odszukaliśmy — odpowiedział apodyktycznie Harwick.

— Co do diabła! — wrzasnął Resturner — kpisz pan chyba ze mnie, alboś już całkiem zwarjował... bo ja przynajmniej wiem, że nie jestem warjatem! —

— Wiem, że nic nie wiem, powinienby pan powiedzieć z Sokratesem; więc aby pana o tem przekonać, że mój eksperyment nie odbiegł w niczem od celu, dla którego przybyliśmy tu z Londynu, zrobię z panem zakład, że we wtorek wieczór usłyszysz pan głos synka Milly i przekona się, kto z nas ma rację — odpowiedział Harwick spokojnym głosem.

— Zakład... ależ to pyszne, jestem gotów w każdej chwili... sto, dwieście, tysiąc funtów, wszystko jedno ile, — przybij pan! — zawołał ze śmiechem Resturner.

Ale Harwick się nie spieszył.

— O pieniądze się nie zakładam, bo wiem, że musiałbym odebrać panu to, co panu potrzebne do życia, natomiast założę się o wierność w przyjaźni. Kto przegra, ma być przyjacielem zwycięzcy i być mu zupełnie uległym. Czy zgoda? — zapytał Harwick, wyciągając dłoń do Resturnera.

— Ależ zgoda! — zaśmiał się Resturner, — przybijając swą szeroką łapą zakład — jeśli przegrasz Harwicku, każę panu fiknąć w moim imieniu koziołka na grzbiecie ministra sprawiedliwości w Angli. Ale w pelerynie! pamiętaj pan!

— Dobrze! gdy przegram, spróbuję fiknąć żadanego koziołka, jednak sądzę, że pan go i tak nie będzie oglądał, gdyż nie ośmieliłbyś się zbliżyć na taką odległość właśnie do tego dostojnika — odrzekł Harwick, uśmiechając się pogodnie.

— I dlaczegoż miałbym się bać ministra sprawiedliwości? W czymże on lepszy odemnie? Czy w tem, że za zapłatą głosi sprawiedliwość? A czemuż jest ona sama? Kto rządzi, ten robi sprawiedliwość, raz król angielski, drugi raz złodzieje z ulicy. Sprawiedliwość społeczna jest wynikiem rywalizacji w zdobywaniu środków materialnych. Król angielski ze zgrozą patrzyłby się na to, jak ja fałszuję grą w karty odbieram grubemu rzeźnikowi z prowincji tę gotówkę, którą on mógłby jako podatek oddać królowi, ja zaś patrzę ze zgrozą, jak nasza kasa państwowa zgarnia te pieniądze, któreby mnie się przydały. Gdyby mi wpadło do głowy zabić Browinga i zabrać mu majątek, czy sądzisz, że przez to straciłbym szanse zostania ministrem? Co więcej, wtedy mógłbym pójść do obecnego ministra sprawiedliwości i powiedzieć mu: Panie ministrze, podajmy sobie rękę, pan zostałeś za to ministrem, że w procesie trustowca stalowego, wzięwszy od niego milionową łapówkę, wygrałeś mu, wbrew wszelkiej uczciwości, proces z związkiem drobnych producentów stali i zniszczyłeś był kilkadziesiąt rodzin, ja zaś zabiłem jednego zbója i sam sobie wzięłem za to milion.

— Masz trochę racji panie Resturnerze — odrzekł Harwick — choć na ogół idziesz na przebój paradoksami. Istnieje jedna tylko sprawiedliwość, ale tej trzeba szukać po za ludźmi, a nazywa się ona walką o życie. W przyrodzie niema niesprawiedliwości, bo nikt tam nie wymyślał cech sprawiedliwości. Niesprawiedliwość stworzyli ludzie, którzy mieli siłę; przeto sposób ciągnięcia przez siebie zysków z drugich nazwali uczciwością, nieuczciwością zaś to wszystko, co zagrażało w ten sposób nabytym przez nich prawom. Zresztą nad logiką stoi uczucie i choćbyśmy

nie wiem do jakich wniosków doszli, w praktyce zgodzisz się pan chyba ze mną, że Browing musi ponieść karę?

— Do diabła! gdybym sam jeden był na świecie a on drugi, to i tak nie darowałbym mu! — odrzekł porwczo Resturner.

— Ale zakład nasz w mocy? — zapytał Harwick — we wtorek zatem czekam na pana w mojem laboratorium w A... A teraz w drogę! mamy wprowadzić daleko do Londynu, ale może przed wieczorem jakoś się tam dostaniemy.

IX.

— Byłem wczoraj w A... Harwick wyjechał do Londynu, aparat wziął z sobą. Niech się pan porozumie z policją, gdzie zamieszkał. Resztę sam zrobię — mówił do profesora tęgi mężczyzna, w niebieskiej robotniczej bluzie, po którego zniszczonych opilkami rękach i wyrobionych ścięgnach poznać było, że zawodowo uprawia ślusarkę.

— A jeśli już znów wrócił do A...? — spytał profesor.

— Wtedy pojedę tam za nim. Jeszcze lepiej. Mieszkanie ma odległe, zapadła dziura, w której ludzie chodzą spać z kurami. Nim się kto zbudzi, Harwick nie będzie żył — odpowiedział ślusarz.

Profesor podszedł do telefonu i za chwilę wrócił z wiadomością, że Harwick już wyjechał z powrotem do domu.

— Zatem jest w A... — rzekł, zwracając się do ślusarza — sto funtów odbierzecie w banku na mój czek, oto są.

Ślusarz schował niedbale kartkę i rzucając lekkie skiniecie głową, wyszedł. Od drzwi wrócił się jeszcze raz i zapytał:

— A z Resturnerem co będzie? mówiono mi, że jest w Londynie; ja go co prawda nie znam, bo przyjechałem niedawno ze Szkocji, ale mówią, że choć on nie całkiem jeden z naszych, w Londynie nie miałbym czego szukać, gdybym z nim zaczął.

— O Resturnera bądźcie spokojni, nie myślę go za-

bijać, waszą robotą będzie tylko, gdy się trochę podochoci, wlać mu do whisky parę kropel płynu, który wam dam, aby przez tydzień musiał przesiedzieć w domu i nie zrobił awantury, zanim zatrzemy ślady po Harwicku — odpowiedział profesor.

— A czy to nie trucizna? bo ja panu nie wierzę — odrzekł ślusarz.

— Skądże znów trucizna, mam tu świnkę morską, możecie jej dać wypić, a przekonacie się, że nie zdechnie — odparł profesor, wyjmując równocześnie z biurka małą ciemno-niebieską flaszeczkę i wręczając ją ślusarzowi.

— No to już dobrze — rzekł ślusarz i chowając flaszeczkę do kieszeni, dodał. — Pewnie, że trzeba, aby parę dni posiedział w domu, bo dużo mógłby nam popsuć, a mówili mi nasi ludzie, że z nim niema żartów. Jednak potem będzie napewno zdrow? — zapytał, zwracając się do profesora.

— Rozumie się, jest to środek zupełnie nieszkodliwy — odrzekł Browing — bierzcie go z sobą i nie lękajcie się niczego.

Po wyjściu ślusarza Browing usiadł wygodnie w fotelu przy biurku, zapalił wonne cygaro, i uśmiechając się ironicznie, napisał do firmy Clarings & Comp. w Filadelfji z zawiadomieniem, że ofiarowaną mu posadę w fabryce barwików anilinowych przyjmuje i jeszcze w bieżącym tygodniu przybędzie do Filadelfji. Po tem, spostrzegłszy zapieczętowany jeszcze list od pani Klewelton, zmiażdżył go w ręce i, rzucając do kosza na papiery, mruknął:

— Czekaj głupia babo aż znów ktoś będzie chciał mieć protekcję w ministerjum, ja już na nią nie reflektuję. — Zaśmiał się głośno i zamknawszy biurko, wyszedł z domu.

W mieszkaniu nie został nikt, bo od kilku dni odszedł służący, nie mogąc dalej wytrzymać ze swoim egoistycznym panem. Odszedł, uprzedzając wypowiedzenie ze strony Browinga, który chciał być sam i nie mieć świadków w tem, co przygotowywał.

W jaką godzinę po wyjściu profesora, otworzyły się bez najmniejszego szmeru tapetowe drzwi jego pracowni i wszedł człowiek w czarnych okularach, kierując się wprost do starannie zamkniętego biurka. Otworzył jedną z szuflad i przeszukawszy ją dokładnie, wyjął z zapieczętowanej koperty jakiś papier, schował go do kieszeni, kopertę zaś napowrót zakleił. Potem włożył starannie inne papiery do biurka, zamknął je i oddalił się znów tak samo cicho, jak przyszedł.

Profesor wrócił późno wieczór i zaraz zabrał się do pakowania dużej walizy, na której grzbiecie widniał wielki srebrny monogram. Przerzucał wszystko w szufladach, zapieczętowaną kopertę włożył na sam spód, przyłożył plikami dokumentów, a wreszcie wykorzystując każde wolne miejsce, poukładał biżuterję swej zmarłej żony i przykrył ubraniami i bielizną. Zabrał co najlepsze, resztę ze zboląłą miną zostawił w szafach, zamknął walizę i przeglądając jeszcze raz leżący na biurku plan odjazdu parostatków, udał się na spoczynek.

X.

— W samą porę przychodzisz panie Resturnerze, czekam na ciebie już z godzinę, widocznie pociąg się spóźnił — mówił Harwick, wstając ze zwykłego drewnianego stołka, na którym najchętniej przesiadywał. — W pracowni wszystko już gotowe, jeśli pan chcesz, możemy zaraz rozpocząć. Ale czy nie pozwoliłbyś, abyśmy się przedtem nieco posilili? Podróż zaostcza apetyt, zwłaszcza, jeśli trwa kilka godzin, a po drodze nie można wstąpić nigdzie na stację.

— Bardzo chętnie zgadzam się na pańską propozycję — odrzekł Resturner — spieszyłem się bardzo, by nie przybyć za późno, a mimo to już godzinę czekasz pan na mnie.

Po spożyciu posiłku i wypiciu kilku szklanek porteru przeszli obaj do pracowni. Resturner przypatrywał się z wielkiem zainteresowaniem dziwnym przyrządom, ustawionym pod ścianami na szerokich białych deskach, podpartych grubymi kawałkami okrągłych klocków.

— Wszystko tu u ciebie, panie Harwicku, inaczej niż u profesora — odezwał się Resturner — nie widzę ani mahoniów, ani złożonych ram, okna małe, a nawet książki ledwie broszurowane i bez jaskrawych monogramów.

— Nie jestem profesorem, nikt mnie tu nie odwiedza, a gdy komu zależy na mnie, to i tak przyjdzie. Nie mam czasu myśleć o komforcie; zwykła ławka z miękkiego drzewa spełnia wcale nie gorzej swe zadanie, niż

lśniący sprzęt z pluszowem obiciem. Zresztą, co kto lubi — odpowiedział Harwick, ustawiając na długim stole jakiś aparat. — Moglibyśmy odrazu zacząć — mówił dalej — jednak wolałbym przedtem wyjaśnić panu zasadę, na której opiera się to, co pan tu za chwilę zobaczy. Czy ma pan chęć mię słuchać?

— Ależ rozumie się, byleś pan, Harwicku, nie mówił zbyt uczenie, bo odwykłem od wszelkich rebusów — godził się Resturner.

— Nie mam pretensji do uczoności, więc może i mój wykład nie będzie zbyt nużący. W końcu, gdybyś pan zasnął, to i drzemka po podróży dobrze działa na zdrowie — zaśmiał się Harwick.

— Jak panu mówiłem już, Resturnerze, polega mój wynalazek na odkryciu dwu ciał, takiego, które pochłania kosmiczną energję i takiego, które je w zupełności odbija. Podczas doświadczenia na bagnach chodziło mi o to, aby schwycić i związać tę energję, jaka była zawarta w roślinach z jego dna. Światło, głos, elektryczność, wola, czucie i myślenie, to wszystko tylko energia, wreszcie i materia jest tylko pewnym stanem skupienia energii. Pod wpływem mego aparatu, który widziałeś pan na grobli, cała energja, zawarta w wodorostach, zebrała się w ciele, mającem zdolność zupełnego jej wchłaniania w siebie. Obecnie trzeba ją z powrotem odtworzyć, aby stała się przystępną dla naszych zmysłów. Do tego celu służy drugie, odkryte przezemnie ciało, które nazwałem pramaterją. Ma ono zdolność dokładnego odbijania całej nagromadzonej w pierwszym ciele energii. Otóż w przyrządzie, który pan widzisz na stole, wprowadza aparat zegarowy te dwa ciała w ten sposób w ruch, że ciało z zebraną energją, obracając się szybko naokoło pramaterji, umieszczonej w pobliżu małego, opatrzonego w szybkę z miki okienka, wysyła na zewnątrz częściami całą, przez siebie odbitą energję. Czy dość jasno wyrażam się? — spytał Resturnera.

— Mam wrażenie, że zrozumiałem pana — odrzekł Resturner — i ciekaw jestem, jak to będzie wyglądało w praktyce. Może zaczęlibyśmy?

— Z chęcią, proszę jednak uważać, by nam żaden szczegół nie uszedł — odpowiedział Harwick, nakręcając aparat i puszczając go w ruch.

— Rozległ się turkot kółek, a równocześnie z nim odczuli obaj tysiące ukłóc po całym ciele, jakby ukąszeń od wielu drobniutkich mrówek, którym towarzyszył lekki skurcz mięśni w kończynach.

— Zawarte w wodorostach prądy elektryczne zaczynają się z powrotem wyładowywać — objaśnił Harwick — za chwilę przyjdą inne zjawiska.

— Jeszcze nie skończył zdania, gdy błysk jakiś, złożony z wielu różnobarwnych, oślepiających światła, uderzył w ich oczy, tak, że musieli na chwilę zmrużyć powieki.

— To białe światło pochodzi od słońca jako suma energii świetlnej, którą pochłonęły rośliny, gdy w czasie swego istnienia narażone były na działanie światła słonecznego. Te przerywane, gwałtowne błyski, to pochłonięte światło błyskawic z czasu burz i piorunów, które biły w sąsiedztwie. Światło mleczno-seledynowe, to wynik długiego oświetlania bagna podczas nocy księżycowych, a migotliwe malutkie iskierki, w tysiącnych scenach, przebiegające przez okienko, to wyładowanie elektryczne, odbijające się w komórkach rozwijającej się rośliny — te zaś obrazy, ptaki i ludzie, tłumnie przewijający się i giestykulujący, których twarze, z powodu ich przesuwania się w aparacie, nie można odróżnić, to wszystko odbicie zjawisk, jakie odbywały się nad tą częścią bagna — tłumaczył Harwick.

— Jakimże sposobem możemy otrzymywać z powrotem te rodzaje energii, kiedy powstawanie samej rośliny odbyło się dzięki przemianie tej energii na inną — spytał Resturner.

— Dzieje się to w ten sposób, że mój aparat umie

rozkładać nie tylko związki chemiczne ciał, ale i związki energii, bo przecież mówiłem panu, że materja nie jest niczem innem, jak tylko znów energją w stanie odpowiedniego skupienia, a związkiem energii różnorodnych jest siła życiowa — odpowiedział Harwick. Ale dodał, przykładając dłoń do ucha i zbliżając się do aparatu — czy pan słyszy ten cichy szmer, który przebija przez turkot kółek? Staje się coraz wyraźniejszy i wkrótce przejdzie chyba we wrzawę, przy której trzeba będzie zatykać uszy.

Resturner jednak już przedtem go zauważył.

Z okienka wychodził cichy, ledwie dosłyszalny ton, wyższy znacznie od tego, jaki słyszymy przy najwyższych pozycjach naszych instrumentów, podobny do jednej części brzęczenia owadów i świstu wichru, prześlizgującego się przez szczeliny drewnianych ścian.

— Najwyższe tony ustawicznej muzyki żywej przyrody odtwarza właśnie nasz aparat — odezwał się Harwick — naturalnie najwyższe, jakie ucho nasze może odróżnić, bo największa część dźwięków, leżąca po za granicą ilości drgań, dostępnej dla nas, przepada i tych nigdy nie usłyszymy. Ale oto zaczyna się muzyka, która trwać będzie aż do końca eksperymentu. Czy słyszy pan to jednostajne brzęczenie, jakgdyby ktoś przesypywał szklane paciorki? — spytał, zwracając się do Resturnera.

— To pewnie dźwięk rozbijających się o siebie kuleczek wody, będących w ciągłym ruchu, wskutek różnicy temperatury wyższych i głębszych warstw wody — domyślał się Resturner.

— Tak — potwierdził Harwick — jest to równocześnie ostrzeżenie dla nas, by zaostrzyć uwagę, gdy zbliża się chwila, która nam powinna przynieść wyjaśnienie w sprawie dziecka biednej Milly. Proszę dobrze uważać, zaraz zaczną się odzywać głosy ludzkie.

— W odpowiedzi na przypuszczenie Harwicka, dał się słyszeć cichy, sopranowy głosik dziewczęcy wydzwaniający znaną ludową melodję, śpiewaną przez pastuszki

w tym okręgu Anglii. Teraz otworzyła się zaporą dla ludzkich głosów. Rozmowy, śmiechy, okrzyki bólu w różnych głosach, od dźwięcznych i łagodnych aż do wrzaskliwych i ostrych, tępych i chrapliwych, wszystko zerwało się burzą całą, uderzając w uszy słuchających. Każde słowo można było słyszeć — wyznania miłosne, śpiew ptaków, przekleństwa i złorzeczenia, przerywane jękami bólu i rozpacz, mieszały się z sobą w jakąś dziwnie szybko po sobie następującą kaskadę głosów.

Wszak to głos chłopca, z którym mówiliśmy w chacie nad stawem! Czego ten djabeł tak klnie obrzydliwie? — odezwał się Resturner na wpół do siebie, na wpół do Harwicka.

Harwick nie odpowiadał, lecz wsłuchiwał się z największym skupieniem w każdy najdrobniejszy szmer, wychodzący z okienka aparatu.

— Co pan tak słuchasz? uważaj, bo cały wleziesz do aparatu! — odezwał się Resturner.

— Cicho! — odezwał się Harwick — od tej chwili nie wolno nam stracić ani słowa z rozmów, jakie reprodukuje aparat.

Słabe kwilenie dziecka było odpowiedzią na tę uwagę.

— Toć to dziecko żyje! — przemówił z aparatu głos chłopca — jakże go mam chować? Przekłeta klacz ta Mary, chciałaby, abym za tych kilka szylingów, które mi płaci, nie tylko stulił pysk na wszystko co robi, ale jeszcze pomagał jej zabijać. Ja tego dziecka nie będę żywcem grzebał. Nie chcę, aby za mną chodził wszędzie jego upiór, a na koniec sprowadził z grobli do stawu.

— Ale już grób rozkopany, profesor zapłacił za wszystko, a Mary wzięła za to sto funtów!... co ci tam! żywe, czy nie żywe, rzuć do dziury i zasyp ziemią! — odpowiedział w aparacie jakiś kobiecy głos.

W tej chwili rozległ się znów płacz dziecka.

— Precz przekłeta wiedźmo! — ryknął znów głos chłopca — tego chłopca nie pochowam żywcem, a ty mnie nie kuś, bo cię jak psa zabiję łopata i wrzucę do stawu.

— Tak do żony mówisz? Pocom brała takiego ordynusa, kiedy miałam stu lepszych kawalerów — biadał głos kobiety.

— Mówię ci babo, zamknij już raz gębę i nie doprowadzaj mię do złości, bo ci czerep rozbije jak stary garnek. Słuchaj lepiej co ci powiem i raz bądź mądra — mówił głos chłopca. — Gdybyś miała choć trochę flaków w twojej babskiej makutrze, tobyś pomyślała sobie, że Browing chce zabić dziecko, aby zagarnąć jego majątek.

— A co ci do tego, jeśli dziecko będzie żyło? — spytał znów głos kobiety. — Pewnie, że gdybym był taką głupią małą jak ty, nicby mi z tego nie przyszło, ale ja mam rozum i zrobię na tem interes.

— Ty?... zaskrzeczał z obelżywem lekceważeniem w głosie głos kobiety.

— Ja!... wrzasnął chłop — chłopca oddam do mojej siostry na wychowanie, a kiedyś go przyprowadzę do sądu i powiem wszystko. Profesor pójdzie na stryczek, a chłopak chyba potrafi mi wynagrodzić, żem go wyratował od śmierci.

— A skąd zapłacisz za niego siostrze? myślisz, że za darmo będzie go karmiła? — zapytała baba.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, widocznie chłop namyślał się nad odpowiedzią, wreszcie odezwał się znowu.

— Wiesz babo, Mary muszą wziąć djabli... ma w skrzyni grube pieniądze, interes prowadzi od dawna, a to dobry zarobek. Ubiję ją, wodę ze stawu spuszcze pod jej chałupę. Ona i tak sama siada, gdy przerwę groblę na stawie, przez noc wszystko wpadnie pod ziemię. Cud boski, że dotąd trzyma na górze bez fundamentów, siedzi jak na tratwie na tej odrobinie ziemi, kiedy pod spodem już prawie bulkocze woda. Sto kroków stąd cała stajnia wpadła w ziemię i dziś na jej miejscu rośnie szuwar.

— Chcesz Mary zabić, pieniądze zabrać, a ją z chałupą puścić pod ziemię!? Skąd ci ten rozum przyszedł, chybaś spotkał jakąś wiedźmę, żeś tak zmańdżał — odezwał się znów głos baby.

— Nareszcie mnie zrozumiałaś, chwała Bogu! dziś pod wieczór wszystko będzie zrobione, a ty weź dziecko i leć z niem zaraz do mojej siostry! Powiedz jej, że podrzutek, ale ja za nie płacę! Rozumiesz? — rzucił rozkazująco głos chłopca.

Rozległo się krótkie kwilenie, słysząc było ciężkie stąpanie, po którym nastąpiła cisza, a tylko jednostajne uderzenie kropli wody o siebie brzęczało nadal bez przerwy.

— A to awantura! — wybuchnął Resturner — Browing ani się domyśla, ile nam to bagno powiedziało.

— Słuchaj pan! — przerwał mu Harwick.

Resturner zamilkł, gdyż z aparatu zaczęły dochodzić jakieś dziwne szmery. Słysząc było wyraźny trzask, jakby zapadanie się jakiegoś ciężkiego przedmiotu w błocie, potem szum wody, wreszcie znów nastąpiła cisza.

— Słyszałeś pan? — przemówił Harwick — wiadać Mary tuż obok swego domu kazała pogrzebać chłopca, a teraz już po wszystkim i chłop zatopił jej budę.

Znów szmery zaczęły odzywać się w aparacie, a po nich nastąpił rytmiczny plusk, jakby uderzenie wiosła po wodzie i znów zabrzmiał jakiś męski głos.

— To Browing mówi — szepnął ze zdziwieniem Resturner — jakby stał przy mnie, słuchajmy!

— Wolałbym widzieć ten pogrzeb, ale kiedy Mary mi pisała, że ma się odbyć, to już pewnie go pochowali, a teraz i tak nic nie pomogę, bo woda wszystko zalała. Biedny mój Karolek, ani kwiatka mu nikt nie zasadzi na grobie — biadał głos profesora.

— Uczciwy miał pogrzeb, pewnie i książątko nie miało lepszego, sam zasypywałem grób, niech się pan nie martwi. Pewnie, że ojcu nie gadać takich rzeczy, bo serce boli, ale kto wie jak i nam długo — uspokajał znany głos chłopca.

Szmery wzrastały, słysząc było coraz wyraźniejsze groźne pomruki w oddali, wreszcie rozległ się huk tak silny, że Harwick z Resturnerem odskoczyli równocześnie

od aparatu. W tej chwili także aparat zegarowy stanął i nastąpiła zupełna cisza.

— Widać burza rozpędziła tę parę obłądników — zauważył Harwick — dobrze, że przyszła dopiero teraz; kółka naszego aparatu w sam czas odmówiły posłuszeństwa.

— Czy się da to naprawić? — spytał Resturner.

— Bez wątpienia, nic się wielkiego nie stało, jutro będzie wszystko w porządku — odparł Harwick.

XI.

Resturner został tej nocy u Harwicka. Pociąg do Londynu odchodził dopiero rano, zresztą nie miał powodu się spieszyć. Po kolacji udali się na spoczynek, Harwick położył się na swoim łóżku w pracowni, Resturnerowi pościelił w bocznej, czystej izbie. Harwick nie spał dobrze tej nocy. Silne wrażenie, jakie na nim wywarła posłyszana w aparacie rozmowa, zbyt go opanowało, by mógł się prędko uspokoić. Postać biednej Milly i przejścia jej synka, wreszcie wstręt i nienawiść do profesora, wszystko to kotłowało mu po głowie. Chwilami uprzytamniał sobie przeszłość, wyobrażnia malowała mu obrazy po spełnionej zemście; widział Browinga zgniebionego, zdeptanego, jak gada rzuconego sobie pod nogi. Wpatrywał się nieruchomo w małe okienka swej izby, w ciemność, nie rozjaśnioną ani jedną gwiazdą, ani jednym światełkiem uśpionej wsi. Wtem usłyszał, że jedno z jego okien zaczęło się chwiać i skrzypieć, wprowadzie słabo, jednak dość głośno, wobec zupełnej ciszy, jaka wokoło panowała. Zaczął nadśłuchiwać. Okno wyraźnie podnosił ktoś od strony zawiasów, gdyż od strony zasuw nie mógł go widocznie otworzyć. Harwick usiadł na łóżku, oczekując napadu. Za chwilę prąd zimnego powietrza wpadł do izby, a równocześnie rozległ się stuk ciężkich nóg i kroki, kierujące się niepewnie w stronę łóżka. Harwick przycisnął guziczek małej elektrycznej lampki, którą stale miał pod poduszką i ujrzał tuż przed sobą postać nieznanego mu, rosnącego mężczyzny, w niebieskiej bluzie robotniczej.

— Czego tu chcesz? — krzyknął, zrywając się na nogi, Rabuś był widocznie nieprzygotowany na to, że zastanie swą ofiarę nie we śnie; nagłe światło oślepiło go, cofnął się więc kilka kroków wstecz i, dobywając z rękawa długi ostry pilnik, gotował się do skoku na przeciwnika. Ten był jednak mimo swej niepozornej postaci silny i zręczny i z zimną krwią oczekiwał ataku, obserwując przeciwnika dla wybadania chwytu, jaki możnaby najkorzystniej zastosować. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie rabuś, z ręką gotową do ciosu, rzucił się na Harwicka. Ale ten uskokzył w bok i silnie schwycił przeciwnika za uzbrojoną rękę. Zaczęło się mocowanie, przy którym obaj padli na ziemię. Robotnik starał się oswobodzić rękę z ostrem narzędziem, Harwick usiłował przeszkodzić mu w tem wszelkimi siłami, czując, że z chwilą, w której rabuś mógłby rozporządzić swą ręką, życie jego byłoby rozstrzygnięte. Była chwila, w której obaj leżeli bez ruchu, głośno sapiąc ze zmęczenia — potem robotnik zaczynał na nowo, chcąc się uwolnić z uścisku przeciwnika. Wśród ustawicznego borykania się, Harwick chwilami przestawał myśleć o swem położeniu — robotnik był zbyt silny, by mógł zupełnie uleść, napadnięty zaś czuł, że nie mając żadnej broni, przy ubytku sił, nie zdola się długo bronić. Raz poraz ostre żelazo drasnęło go, powodując krwawienie, na szczęście nie zagrażające życiu. Harwick broczył silnie, ale nie tracił nadziei. Wreszcie nastąpiła chwila, w której, trzymając prawą ręką w przegubie rękę robotnika, podparł ją Harwick swoją lewą tak, że rabuś został ubezwładniony. Chwilę tę uważał za stosowną, by zacząć wołać o pomoc. Krzyk jego zbudził Resturnera w sąsiedniej izbie. Wypadł z niej w białiznie i w mgnieniu oka znalazł się przy walczących. Schwycił ślusarza za uzbrojoną rękę tak silnie, że ten w tej chwili otworzył dłoń, a pilnik wypadł z brzękiem na ziemię. Harwick znużony walką i wpływem krwi, nie wiele mógł pomóc Resturnerowi. Ten jednak nie potrze-

bował na szczęście pomocy. Po kilku błyskawicznych ruchach, leżał robotnik twarzą do podłogi, a Resturner, trzymając obie jego, skrzyżowane na plecach ręce, w swej olbrzymiej prawicy, lewą szukał wokoło siebie sznura do związania ich.

— Dajże pan jakiś rzemień, abym go mógł spętać! — odezwał się do Harwicka.

Ten spełnił odrazu żądanie i po skrępowaniu złoczyńcy, obaj z Resturnerem odstąpili od leżącego, by zapalić lampę, gdyż latarka elektryczna, zostawiona na łóżku, świeciła coraz to słabiej.

— Umyjże się pan! — odezwał się Resturner do Harwicka — jesteś pomazany krwią, jakbyś wyszedł z rzeźni. A ty — rzekł, zwracając się do leżącego — gałaj, kto cię tu przysłał i ile masz za to dostać?

Robotnik nie odrzekł ani słowa, lecz ciężko oddychając, obrócił głowę w przeciwną stronę, dając tem do zrozumienia, że nie chce mówić.

— Psie parszywy! — ryknął na ten widok Resturner — czy nie odpowiesz mi na moje pytanie?

Ale leżący trwał w milczeniu. Resturner więc, pniąc się z wściekłości, przyskoczył do niego i uderzając go z całej siły w twarz, powtórzył pytanie.

— Powiesz czy nie, ty bydlę mizerne! — krzyczał — jeśli zaraz nie zaczniesz mówić, to cię ubiję jak psa i wyrzucę ścierwo przez okno.

Ten argument, a jeszcze więcej potężne kopnięcie nogą, jakiego mu udzielił Resturner, rozwiązało robotnikowi usta.

— Nie znęcajże się pan nad nim! — odezwał się Harwick do Resturnera — czy on winien, że daje się kierować tylko chciwością i że nie nauczono go kochać?

Resturner odstąpił od swej ofiary, a robotnik, widocznie już teraz pod wpływem słów Harwicka, zaczął opowiadać, jak go zwerbował profesor wtedy, gdy nie mogąc znaleźć zajęcia, włóczył się głodny i zły po ulicach Londynu i jakie miał zlecenie wobec Resturnera.

— Ile dostałeś za to? — spytał go Resturner.

— Sto funtów za datku, a potem miałem dostać drugich sto — odpowiedział robotnik.

— Sto funtów! — zaśmiał się Harwick — tanio tak suje nas Browing; na mnie i na ciebie panie Resturnerze wypada równo po sto funtów. Bo, że flaszeczka zawiera truciznę, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zresztą możemy zaraz zbadać. Czy masz ją przy sobie? — zwrócił się do więźnia.

— Bierzcie ją, ale wam przysięgam, że profesor zapewniał, że to nie trucizna, bo inaczej nie byłbym się zgodził na to, by Resturnerowi wlać ten płyn do whisky — odrzekł robotnik, wręczając ją Harwickowi.

Ten oglądnął flaszeczkę, wlał część jej zawartości do małej próbówki i po chwili orzekł, zwracając się do Resturnera.

— Najczystszy kwas pruski! Ilość ta, jaką przygotował profesor dla wywołania u pana chwilowej niedyspozycji, wystarczyłaby, by nie tylko pana, ale jego całą rodzinę błyskawicznie wyprowadzić do nieba.

— Ekspedycja wcale interesująca, ale mam czas na nią, zresztą nie lubię sam podróżować — odezwał się Resturner.

— To też profesor chciał panu mnie dodać za towarzysza, aby ci się nie nudziło — zaśmiał się Harwick.

Ja nie będę na tyle dobrze wychowanym, wyprawie profesora samego na tamten świat, chyba, gdyby równocześnie z nim odbyła się egzekucja nad tym dżentelmanem — odezwał się Resturner, wskazując na robotnika.

— Ani dla jednego ani drugiego jeszcze nie czas — zawyrokował dobitnie Harwick. — Profesor musi wiedzieć, że nie za mnie, ale za kogo innego ponosi karę, a wykonawca jego planów co do nas niech idzie sobie swoją drogą; sąd nie dałby nam żadnej satysfakcji, bo skazując obu na stryczek, postąpiłby niesprawiedliwie. Jeśli bowiem komuś za to, że z głodu i nędzy daje się namówić

do zbrodni daje się szubienicę, to cóż powinno spotkać zbrodniarza takiego, jak profesor?

— Mamy im darować? — zachnął się Resturner — na to ja nie pozwolę! Pojadę zaraz do Oksfordu i powiem profesorowi o wszystkim. Jeśli będzie się zapierał, przyprowadzę go tutaj. Niech ten dżentelman — mówił, wskazując na robotnika — powtórzy mu w oczy, co mieli z sobą za konszachty.

— Darujcie mi — odezwał się robotnik — nie jestem zbójem; profesor tak mię długo podchodził i namawiał, że sam nie wiem, jak się to stało, iż go posłuchałem. A kiedy się zgodziłem, zagroził mi, że jeśli bym nie zabił Harwicka, wyda mnie sądowi, bo ma świadków, że brałem udział w morderstwie starej wdowy, o której przed tygodniem pisały gazety. Zapierałem się jak mogłem, a wtedy on sprowadził jakiegoś człowieka, który powiedział mi, że mnie zna i przysięgnie, że to ja zabiłem wdowę. Nie miałem się na kogo odwołać, by wykazać moją niewinność. W Londynie jestem zupełnie obcy, od przybycia ze Szkocji mieszkam na ulicy. Co mógłbym powiedzieć, gdyby mnie zapytał sędzia, gdzie byłem podczas spełnienia morderstwa? Nie miałem wyboru!

Harwick odciągnął Resturnera do drugiej izby i coś długo z nim konferował. Wreszcie powrócił sam i rzekł do robotnika:

— Darujemy tobie wszystko i więcej nie nawiń nam się na oczy. Może ci dzisiejsza nauka wystarczy na całe życie. Staraj się być mądrzejszym a wtedy będziesz lepszym. Na razie zostaniesz tutaj, potem puścimy cię wolno. Czy zjesz co?

Robotnik spojrzał z niemem uwielbieniem na mówiącego i zaczął dziękować. Harwick jednak przerwał mu i powtórzywszy pytanie co do śniadania, rozpiął mu ręce, podał kawał chleba z serem i dużą szklankę porteru. Robotnik nie zamyślał uciekać, zjadł co mu dano i usiadł na jednej z szerokich ław pod ścianą, zapadając w zadumę.

— Poznaję po tobie, że nie jesteś złym, bo nie powiedziałbyś mi inaczej całej prawdy, a wreszcie próbowałbyś uciekać, gdy ci zdjąłem powróż z rąk. Zostań tu, jeśli chcesz. Za dwa dni wróci Resturner, a wtedy odejdiesz sobie dokąd zechcesz — mówił Harwick.

— A czy mimo pańskiego przyrzeczenia Resturner na własną rękę nie zawoła policji, by mnie zabrali? — spytał robotnik.

— Nie bój się, Resturner przebaczył ci także — uspokajał go Harwick.

Od tej chwili nie mówili nic więcej o tem, co zaszło między nimi. Na trzeci dzień po odjeździe Resturnera, Harwick, spożywszy śniadanie, zabrał się do roboty, robotnik zaś zasnął w siedzącej pozycji na ławce tak mocno, że jego chrapanie rozlegało się po całym domu.

— Do diabła! jeden śpi, drugi eksperymentuje, jakby się byli w jednej izbie wychowali, a profesor przez ten czas uciekł na cztery wiatry! — krzyczał Resturner, wpadając do pracowni.

— Uciekł? dokąd? skąd wiesz pan o tem? — pytał przerażony tą nowiną Harwick.

— Byłem w jego mieszkaniu; gdy mi na pukanie nikt nie odpowiedział, otworzyłem zamek wytrychem i znalazłem biurko otwarte, z szuflad wyjęte papiery, w szafach tylko gorszą garderobę a na stole kartkę: „Wyjeżdżam i więcej tu nie wrócę“ — raportował Resturner.

— Jeśli chcesz, możesz odejść — odezwał się Harwick do robotnika i wręczając mu banknot stu funtowy, dodał: Masz tu drugą połowę zarobku za mnie, bo profesor cię oszukał, a pamiętaj, abyś się nie dał więcej bałamucić. Wracaj do domu i szukaj zajęcia. Nim je znajdziesz, wytrzymasz z tych pieniędzy. Czy chcesz nam powiedzieć, jak się nazywasz i skąd pochodzisz? Zareczam ci, że ci się nigdy nic nie stanie; chciałbym to jednak wiedzieć, byś, gdyby kiedyś profesor przed nami przeczyl, mógł mu prawdą zatkać usta. W każdym razie bądź pe-

wny, że, ani za świadka, ani jako oskarżonego w tej sprawie, nikt z nas cię nie powoła. Z profesorem mam inne porachunki. To, że ciebie na mnie nasłał, nigdy nie stanie się przedmiotem publicznego traktowania. Jeśli jednak nie chcesz i obawiasz się mnie, wolno ci nie podawać mi swego adresu — mówił Harwick.

Robotnik, nie namyślając się ani chwili, odpowiedział, że się nazywa Toby Harryson, i pochodzi ze Szkocji, z Fortingallu. Pieniędzy jednak, mimo argumentacji Harwicka, przyjąć nie chciał i, dziękując za wspaniałomyślność, oddalił się.

Po jego odejściu Harwick zwrócił się znów do Resturnera. — Nie możemy pozwolić na to, by profesor nam uciekł. Wprawdzie oddawać go za tę nową zbrodnię pod sąd, ani myślę. Wszak za to, co już przedtem zrobił, moglibyśmy go byli już dawno wyprawić na stryczek, ale kara go ominąć nie może. Przysiągłem mu zemstę za zabicie Milly i dotrzymam słowa, a że ty panie Resturnerze przegrałeś zakład i musisz mi pomagać, więc przypuszczam, iż mogę na ciebie liczyć.

— We wszystkim i zawsze! Resturner może być złodziejem, szulerem, czem pan chce, ale nigdy nie łamię przyrzeczeń! Zresztą i bez tego pomagałbym panu w ściąganiu tego łotra. I ja kochałem Milly! — dodał z naciskiem — przez nią, rzuciłem studia i zostałem włóczęgą bez dachu i serca dla ludzi.

— Resturnerze! — zawołał Harwick z wyrazem, którego nikt w nim nie mógłby przypuścić, — jesteś najgorszym łotrem, jakiego widziałem kiedykolwiek! Jak mogłeś przypatrywać się, gdy Browing stracił ją z mostu i nie wołać o ratunek dla niej, lub samemu jej nie ratować?

— Tak! jestem łotrem i nie spodziewam się przebaczenia, bo nie wierzę i nie chcę go, ale posłuchaj mnie, a może mię choć w części zrozumiesz — odpowiedział Resturner zgnębionym głosem. — Kochałem pannę Worth całą siłą mej dzikiej wyobraźni, ale ona mię odepchnęła.

Nawet nie starała się pozorować swej odmowy, gdy jej wyznał miłość.

„Odejź pan! Nie kocham i nie potrafiłabym nigdy pokochać pana. Oświadczyły pańskie uważam za bezczelne zuchwalstwo — proszę się trzymać zdaleka odemnie” odpowiedziała mi odchodząc.

— Wiedziałem, że pan się w niej także kochasz i powiem otwarcie, że choć pana nie znałem, czułem, że jesteś lepszym odemnie i, gdybyś ją dostał za żonę, pogodziłbym się z losem. Kiedy jednak wybrała Browinga, zawrzałem wściekłym gniewem. Jakto, myślałem, mnie rzuca dla tego wystrojonego zarozumiałego głupca! Byłem w swym sądzie sprawiedliwy, pokazała to przyszłość. Rzuciłem medycynę, myśląc o sposobach zemsty. Nie na niej, lecz na nim. Do niej czułem straszny żal, choć nie miałem do tego prawa. W takim usposobieniu, rozdrażniony ustawiczną pracą podnieconego mózgu, stałem się świadkiem sceny na moście. Pierwszy to raz widziałem ich razem po ślubie. Głuchy gniew opanował mnie z taką siłą, że nie byłbym zdolny przeszkodzić Browingowi w wykonaniu zbrodni. Nie ją ratować, gdy wpadła do wody, ale jego za nią zepchnąć, było moją jedyną myślą. A jednak nie zrobiłem tego. Za małą wydawała mi się ta zemsta. Browing zasłużył na inną. Odtąd czekałem sposobności. Mogłem go śledzić, bo mnie nie znał. Zdaje się, że Milly nigdy mu o mnie nie wspomniała. Do pana czułem początkowo także niechęć, choć słabą. Ta obecnie przeszła w współczucie i dziś, gdy cel mamy wspólny, zginię raczej, niż pana opuszczę!

— Biedny Resturnerze! — odezwał się Harwick, na którego twarzy zarysowała się dziwna rzewność — nie przeczuwałem tego. Padłeś ofiarą własnej ułomności; że jednak umiesz ją uznać, że zniszczyłeś swoje życie dla prawdziwego, choć błędnie pojętego uczucia, bądź mi bratem, byśmy razem mogli zniszczyć zwierzę, które nigdy nie poświęciło nic z siebie dla drugich i nigdy nie

umiało w sobie wzniecić prawdziwej miłości. Podaj mi dłoń Resturnerze!

Resturner, w którego oczach zabłyśły łzy, rzucił się na to wezwanie w objęcia Harwicka, a głośne łkanie przypieczętowało ich wzajemną przyjaźń.

XII.

— Okręt odchodzi punktualnie o jedynastej rano, o trzeciej trzeba stąd wyjechać; czy będziesz gotów na tę godzinę? — pytał Resturner.

— Mam jeszcze do spakowania aparat i kilka drobiazgów; mieszkanie zamknę, klucz zaś wezmę z sobą. Drugi zostawiłem memu sąsiadowi. Będzie doglądał mieszkania — odrzekł Harwick, biorąc się do pakowania.

Punktualnie o jedynastej statek Walpoole ruszył z portu i w niedzielę rano stanęli na miejscu. Jeszcze tego samego dnia udali się do biura melđunkowego, gdzie dowiedzieli się o dokładnym adresie Browinga.

— Nie zwiódł nas człowiek w okularach, gdy mię zaprowadził do jednego z naszych, który mi podał adres profesora — mówił Harwick, gdy opuszczali biuro. — Profesor napewno nie przypuszcza, byśmy żyli i śmieje się w duchu z tego, że mu się tak wszystko dobrze udało.

— A ja myślę, że żałuje teraz, iż nie został w Anglii, bo moja notatka w Timesie chyba go zupełnie uspokoiła — odrzekł Resturner.

— O jakiej mówisz notatce, boś mi o niczem nie wspominał?

— Nie mówiłem ci, chyba przez zapomnienie — otóż napisałem do redakcji, że w miasteczku A... zmarł nagle, jak lekarze stwierdzili, na udar serca Charles Harwick, fabrykant mydła, i rentier, i został na miejscowym cmentarzu pochowany. Podałem dzień pogrzebu równo trzy doby po napadzie na nas przez robotnika.

— Jakże ten rodzaj śmierci pogodzić z napadem? Profesor będzie chyba wiedział, że jego posłaniec nie miał dla mnie w zanadrzu apopleksji? — spytał Harwick.

— Pomyśli, że albo umarłeś ze strachu, albo uprzedziłeś robotnika. W każdym razie dowie się, że nie żyjesz, a co ważniejsze, że nikt nie przypuszcza, by on miał coś z twoją śmiercią do czynienia.

— Wybornie! — zawołał Harwick — czy jednak nie sądzisz, że wartoby trochę się przeinaczyć, aby nie poznał nas, gdybyśmy go przypadkiem spotkali?

— Ogołę wąsy i brodę, i rodzona matka mnie nie pozna, ale z tobą będzie trudniej, bo masz zbyt wydatne rysy, byś je mógł ukryć. Wiesz co? przebiesz się za pastora, a ja za robotnika. Co myślisz o tem?

— Pomysł godny opatentowania! Dziś jeszcze zaczniemy maskaradę, ale czy potrafimy tu kogo znaleźć do pomocy?

— To najmniejsze... niejeden z moich ludzi kręci się po Filadelfii i prędko ich odnajdę, byłem poznał o tyle miasto, by wiedzieć, które przedmieścia zażywają w policji najgorszej sławy. Zresztą mógłbym sprowadzić karła.

— To nie byłoby dobre, profesor poznałby go i doszedłby do wszystkiego, a on nie powinien wiedzieć, że go ścigamy. Dzięki twojej notatce będzie pewny, że nie żyjemy i będzie się czuł bezpieczny.

Na trzeci dzień po przyjeździe Harwicka stało około południa przed fabryką firmy Clarings & Comp. dwu ludzi. Pochylony pastor i rozrostły niski robotnik w bluzie, z krótką fajeczką w ustach, czekając na odezwanie się fabrycznej syreny. Wkrótce rozległo się głucho wycie sygnału, na którego hasło zaroilo się w bramie fabryki, a robotnicy i urzędnicy wysypali się tłumnie na chodnik, rozchoďząc się w różne strony. Do jednego z nich przystąpił Resturner.

— Jak się masz Fanny, co ty tu robisz?

— Co ty tu robisz? — spytał zapytany — poznałem

cię po głosie, boś się przebrał do niepoznania. Masz co napiętego?

— O tem później. Na razie chcę się dowiedzieć, jaką masz rolę w fabryce. Czy jesteś tu robotnikiem?

— Ja, robotnikiem? Chyba kpisz ze mnie! A gdzież ty widziałeś, abym pracował? Mam lepsze zajęcie. Jestem tu pomocnikiem kasjera.

— Wilk w owczarni. Jakże się tu dostałeś? — spytał Resturner.

— Przez jednego z naszych, który w Filadelfji siedzi od pół roku i robi lorda, choć jest synem praczki — odrzekł pomocnik kasjera.

— Nie pleć! przecież Amerykanie nie uznają tytułów i lord im niezaimponuje.

— Amerykanom nie, ale żydom amerykańskim, do których należy Clarings, z pewnością. Dzięki temu zostałem tu przyjęty. Na razie jeszcze rozglądam się w interesie, a gdy go dobrze poznam, zacznę inkasować dla siebie, a skoro będę miał dosyć, wrócę do Londynu. Wiesz kto tu jest chemikiem?

— Skądże mam wiedzieć, jestem dopiero od trzech dni w Filadelfji. Mówże! może znów ktoś z naszych?

— Z naszych nie, choć nie lepszy od nas. Profesor Browing z Oksfordu. Musiał coś przeskrobać, skoro tu przyjechał i porzucił Anglję.

— Czy spotykasz go często? — pytał Resturner.

— Codzień. Ma laboratorium obok mojej kancelarii i widujemy się zawsze w kurytarzu.

— Czy służący, który w laboratorium robi porządki, jest także z Anglii?

— Nie, to typowy Amerykanin. Zaczyna dopiero karierę, jak tu wszyscy, może jednak za rok już będzie wielkim finansistą, bo za dolara oddałby matkę i ojca.

— Czy znasz go dobrze, Fanny?

— Jestem z nim w cichej zmowie, dostarcza mi też blankietów, których potrzebuję, a do których sam nie

mam dostępu. Służący cieszy się tu ogólnem zaufaniem, a Clarings używa go do najintymniejszych spraw. Zwierzył mi się, że z polecenia dyrektora ma mi patrzeć na ręce i szpiegować mnie, abym ich nie wykierował.

— Dobre relacje musi zdawać o tobie — zaśmiał się Resturner — więc mówisz, że jesteś z nim w dobrych stosunkach?

— Jak brat z bratem. Mam już nawet ułożony cały plan ucieczki, gdy mi się z jego pomocą uda kiwnąć firmę. A kim jest ten bogobojny pastor, który nam się z boku przypatruje, czy on także z Londynu?

— Nie, ale z Anglii, mój przyjaciel, przedstawię ci go. Podeszli do Harwicka i wymienili swoje nazwiska. Pomocnik kasjera spieszył się na obiad, więc należało kończyć rozmowę.

— Gdzie mógłbym z tobą pogadać? — spytał Resturner.

— O ósmej wieczór będę niedaleko stąd w gospodzie pod rakiem; schodzą się tam sami marynarze a nadto nasi. Jeśli chcesz, przyjdź dzisiaj.

— Będę punktualnie o ósmej z Harwickiem, ale ty o naszej bytności w Filadelfji nie puść ani pary z gęby! — zakończył Resturner i pożegnał Fannego.

— Przez tego służącego da się niejedno zrobić; co za pyszny zbieg okoliczności, że Fanny jest w tej samej fabryce, w której jest zajęty Browing — odezwał się Resturner, podczas powrotnej drogi do hotelu. — Czy masz co gotowego? — spytał Harwicka.

— Bez planu nie wyjeżdżałbym z Londynu, ale czy możemy zaufać Fannemu?

— Zrobi wszystko, czego zażadam; wie, że mogę mu się także przydać i że potrafię dużo, gdy zechcę. Należy do tej samej międzynarodowej szajki, od której pochodziły informacje co do kierunku, w jakim uciekł nam profesor, nie podając adresu. Ci ludzie wszystko wiedzą — nim agent tajnej policji zrobi krok, oni już rozgłaszają

między sobą, gdzie jest i dokąd spieszy. Mamy swoich wszędzie w starym i nowym świecie. Ale czas już na posiłek — chodźmy!

Gdy około godziny trzeciej wyszli na miasto, zobaczyli profesora na jednej z ulic, którą wczoraj zdążali do fabryki Clarings'a. Szedł, dumnie wyprostowany, pod rękę z jakąś młodą damą. Kokieteryjne jej zachowanie i swoboda, z jaką ją traktował, świadczyły, że stosunek ich wszedł w stadjum znacznej zażyłości. Harwick i Resturner w przebraniu, bo inaczej nie pokazywali się na mieście, przyspieszyli kroku i wkrótce znaleźli się tak blisko, że mogli słyszeć każde ich słowo. Dama odprowadziła Browinga aż do wejścia fabryki. Przy bramie on ucałował jej rękę i wszedł na podwórze fabryczne, żegnany jeszcze zdaleka przez swą wybraną.

Harwick przypatrywał się tej scenie, błądzy i do głębi wzruszony. Resturnerowi twarz pałała, a pulsa biły jak młotami. Harwick wprzód się opanował.

— Uspokój się kochany — odezwał się do Resturnera — stoisz czerwony, z pochyloną głową, jak bizon, gdy się chce rzucić na przeciwnika. Może to zwrócić na nas uwagę przechodniów. Chodźmy!

Pociągnął za sobą towarzysza i wkrótce wmieszali się w tłum, płynący jak fala szeroką ulicą. W Resturnerze wrzał gniew. Niecierpliwiło go ściganie profesora, a choć znał dobrze plany Harwicka i wierzył, iż się uda, opanowywał się często z trudem, by wszystkiego nie skończyć prędzej, bez pramaterji, ale zapomocą swego sprężynowego noża.

Do ósmej włączyli się obaj po Filadelfji, poczem weszli do szynku pod rakiem. Zasiadli przy osobnym małym stoliku, oczekując Fannego.

Nadszedł w przebraniu marynarza, pozdrawiany przez innych gości gospody.

Resturner wyszedł na jego spotkanie i szepnął mu do ucha:

— Pamiętaj, że zameldowałem się tu pod nazwiskiem Dobsona, a Harwick Tumpera. Czy nie zapomnisz?

— Byleś ty nie zapomniał! ja pod tylu nazwiskami wędrowałem po świecie, że mało jest wogóle takich, którychbym z własnej praktyki nie znał. Ale i ty pamiętaj, — dodał ciszej — że w Filadelfji nazywam się Sternbold. A Tumper przyszedł także? — spytał głośno.

— Czeka przy tym stoliku — odrzekł Resturner, wskazując w jego kierunku.

Gdy zasiedli przy stole i zabrali się do posiłku, odezwał się Resturner.

— Skoro znasz dobrze posługacza w kancelariach firmy Clarings, powiedz mi, czy możemy na nim polegać? Musi mieć dwie zalety: umieć milczeć gdy potrzeba, i mówić głośno, także gdy potrzeba.

— Mój spółnik ma obydwie zalety, zrobi wszystko, za co mu zapłacisz — odparł pomocnik kasjera.

— Jeśli tak, dam mu przez ciebie zlecenie, ale ty nie mów, od kogo je dostałeś. Czy wiesz kim jest ta piękność, która Browinga odprowadza do fabryki? Mężatka czy panna?

— Rozumie się, że mężatka. Browing jest za praktyczny, by zawracać głowę pannom — stosunek z mężatkami idzie na obcy rachunek. Nazywa się Miss Griffin, a profesor ma u niej otwarte konto — zaśmiał się pomocnik kasjera.

— Widać, że księgowość bierzesz na serjo, a czy znasz jej adres?

— Mieszka przy ulicy Nowojorskiej nr. 483 na czwartym piętrze i jest żoną reportera. Zna ją z tego, że bawi się w spirytyzm.

— Lepszych informacji nie dałaby nam policja. Czy byłeś kiedy w jej mieszkaniu?

— Nie miałem tam dotąd żadnego interesu, ale przystęp łatwy, wystarczy przynieść jakąś sensacyjną plotkę.

by być tam miłym gościem. Reporter pracuje dużo, ma jednak konkurencję, że zaś żona jego wcale nie lubi oszczędzać, chwytą każdą sposobność, by zarobić.

— Czy kocha swoją żonę?

— I to bardzo. Tylko żony kochane przez mężów umieją być niewiernymi, zaniedbywane, nie oglądają się za drugimi, bo celem ich jest wzbudzić miłość do siebie we własnym domu. A wreszcie niekochane muszą pracować i oszczędzać, kochane próżnując, myślą o romansach.

— Kiedy mógłbym pana poprosić o wprowadzenie mnie do domu Miss Griffin? — spytał Harwick — Chciałbym sam się z nią rozmówić.

— Trzeba wymyśleć jakiś pozór, jak mówiłem, na przykład jakąś sensację. Ale o to nie trudno. Mogę panu zaraz opowiedzieć skandal, jaki zaszedł w rodzinie Haws-kleya, znanego trustowca w Filadelfji, którego córka uciekła z domu z jakimś murzynem. Zrozpaczeni rodzice znaleźli się w ten sposób w bardzo głupiej sytuacji, bo nie chcąc wypadku rozgłaszać, nie mogą ścigać swej jedynaczki. Na ich miejscu dałbym sobie wprawdzie spokój z poszukiwaniami, bo córka wróci sama, choć pewnie już nie jako jedynaczka; ale jak to wytłómaczyć staremu Haws-kleyowi? Pędzi jak opętany codzień na dworzec, zagląda do wszystkich wagonów, nie oszczędzając nawet pociągów towarowych, jakgdyby się spodziewał, że mu murzyn frachtem odeszle uwiedzioną. O wypadku tym nie wie jeszcze nikt, prócz naszej szajki. Spodziewamy się zarobić na wiadomości o miejscu pobytu poszukiwanej pary. Haws-kley zapłaci za to wcale pokaźną sumkę.

— Jutro więc, między dziesiątą a jedynastą rano, wybiorę się do reportera — czy sądzi pan że go zastanę?

— Lepiej pójść około pierwszej, wtedy jest zawsze w domu, a i ją napewno pan zastanie, bo Browinga odprowadza do fabryki dopiero o trzeciej.

Rozmowa toczyła się odtąd o tematach mało obchodzących Harwicka i trwała do późnej nocy, znacząc swe etapy coraz nowymi szeregami pustych butelek. Harwick, nie wiele troszcząc się o towarzysza, odszedł wcześniej, udając się do swego hotelu.

XIII.

Nagle zniknięcie profesora wywołało wielkie zainteresowanie w towarzyskich kołach Oksfordu. Tłómaczono sobie to w różny sposób — najdziwniejsze plotki obiegały miasto. Wreszcie wkroczyła policja, tem bardziej, że rozeszła się wieść, iż Browing został w swem mieszkaniu zamordowany. Otworzono drzwi siłą i przeszukano pokoje. Po dokonaniu szczegółowej rewizji opieczętowano mieszkanie, a kartkę, pozostawioną przez profesora i cały plik jego prywatnych listów, odesłano do dalszego zbadania. W ten sposób wyszedł na jaw romans profesora z panią Klewelton. Listy jej leżały porozrzucone po podłodze, Browing bowiem nie zadał sobie nawet tyle trudu, by je zniszczyć dla uniknięcia kompromitacji swej wybranej. Zawiadomiono o tem męża, z czego wynikł szereg skandalów, omawianych szeroko przez liberalną prasę, która zwalczała sekretarza ministerjum oświaty, jako zdecydowanego konserwatystę. Pani Klewelton była do żywego dotknięta. Gdyby choć zostawiono jej złudę, że była jedyną kochanką profesora. Ale i tej pociechy nie miała, wymieniano bowiem obok niej nazwisko pani Cobblehill w Londynie, pani Squire i kilka innych. Nie odczuwała żadnej skruchy za oszukiwanie męża, żal jej było tylko, że minęła sposobność do prowadzenia w dalszym ciągu pochlebiającego jej romansu. Pan Klewelton zato pieniał się z gniewu i wzburzenia. Żonie ufał ślepo, uważając za fantazję jej pobyt w Oksfordzie, więc

gdy skandal doszedł do jego uszu, gdy publicznie zaczęto go ośmieszać, cofnął się z ministerstwa i osiadł daleko od Londynu, w majątku swych rodziców. Żonie posyłał regularnie co miesiąc pewną dość znaczną kwotę, ale ani jej, ani dzieci nie chciał widzieć, przemysłiwając ustawicznie nad sposobem zemstczenia się na Browingu.

Pewnego dnia otrzymał drukowane zaproszenie na przedstawienie, które dać miała w Filadelfji wędrująca trupa aktorów, znana zresztą ze swych występów w Londynie. Klewelton zdziwił się bardzo, zwłaszcza, że w Filadelfji nie znał zupełnie nikogo, a powtórę, że przedstawienie miało się dopiero odbyć za miesiąc.

— Kto wysłał gotowe programy na przedstawienia trzydzięści dni naprzód? — mówił do siebie.

Widocznie liczone na przyjazd gości z Europy.

Dokładne oglądanie pisma zwiększyło jeszcze jego zdumienie. Wśród zespołu występujących aktorów, znajdowało się nazwisko profesora, w roli jarmarcznego wesołka.

— Wyraźnie John Browing z Oksfordu — chyba mnie oczy nie mylą — mruczał do siebie, biorąc po raz trzeci papier do ręki.

Postanowił jechać. Upadek profesora chciał oglądać na własne oczy, trupa bowiem aktorów i rodzaj sztuki, którą mieli odegrać, dawała zupełną gwarancję społecznego bankructwa oksfordzkiego luminarza.

— Widocznie — tłómaczył sobie sekretarz — przysłał mu to zaproszenie ktoś z wrogów Browinga, chcąc się na nim zemścić.

Podobne zaproszenia otrzymali także znajomi Kleweltona, a gdy w kilka dni później przyjechał do Londynu jeden z aktorów trupy, zarzucono go pytaniami co do Browinga. Aktor potwierdził to, co było w programie, zdziwił się tylko, kto przysłał zaproszenia do Europy. Mistyfikacja była zatem wykluczona.

Wiadomość o tem doszła wkrótce do pana Kleweltona i wzmocniła w nim postanowienie wyjazdu do Filadelfji.

Na drugi dzień po nim wybrała się w tę samą drogę pani Klewelton, nie przypuszczając, że sekretarz także odebrał podobne zaproszenie.

Z iście angielską punktualnością zaczęło się przedstawienie. Teatr jednak powoli się zapełniał. Widzowie palili fajki, rozmawiając głośno i robiąc uwagi o aktorach i sztuce, którą miano odegrać. Pan Klewelton zajął swe miejsce i czekał niecierpliwie na koniec pierwszego aktu, dopiero bowiem w drugim miał występować Browing.

— Czy wystąpi? — pytał siebie.

Żaden z afiszów rozlepionych po ulicach, żaden z programów, sprzedawanych w teatrze, nie zawierał tego nazwiska. Wiđocznie więc padł ofiarą złośliwego żartu. A jednak czekał. Przysłowie, że każdy żart zawiera połowę prawdy, zbyt dobrze było mu znanem, by mógł się oprzeć myśli, iż zobaczy profesora.

Tak samo wnioskowala jego żona. Ukryta głęboko w łoży, widziała męża, sama dla niego niewidoczna.

Akt drugi się rozpoczął. Małżonkowie Klewelton, obecnie już w niczem nie mający z sobą nic wspólnego, tym razem ulegali temu samemu duchowemu napięciu.

Już drugi raz spadła zasłona, a Browinga nie było widać na scenie.

Wtem wypadł jakiś mężczyzna z pośród widzów, i rzuciwszy z siebie szczerze otulający go dotąd płaszcz, stanął na scenie. Czy aktorzy byli na to przygotowani, czy też z musu, dla nieprzerywania sztuki, godzili się na obecność intruza, trudno było zgadnąć. To pewne, że publiczność wzięła pojawienie się nieznanego im kłowna w pstrokatym ubiorze za nadprogramową niespodziankę i powitała go burzą oklasków. Tu i ówdzie padło głośne pytanie, kim jest i skąd przychodzi, w odpowiedzi na co rozpoczęły się szept między obecnymi na farsie robotnikami i oficjalistami firmy Clarings & Comp.; poszczególne głosy zaczęły wymieniać nazwisko Browinga i wkrótce wiedział cały teatr, że kłownem jest chemik fabryki bar-

wików, John Browing. Profesor poruszał się na scenie z taką swobodą, jakby na niej przepędził połowę życia. Aktorzy przestali grać i stali w milczeniu, spoglądając jeden na drugiego i wzruszając ramionami.

Tymczasem kłown, stanąwszy na środku sceny, przysłoniwszy lewą ręką oczy a prawą chwyciwszy się za serce, mówił do stojącego opodal wielkiego trzciniowego krzesła:

— Co widzę! Zeszłoś moje słońce! Oślepiasz mnie blaskiem złota twoich sztucznych zębów, rozpalasz wata fałszywego biustu! Chodź do mnie! Chodź w me ramiona mgławico wkładów do włosów, pudru i szminki! Klaro Klewelton, przestań mię dręczyć! Pozwól, bym na ukwieconej łące twych uczuć był najmniejszym, czarnym żukiem. Wszak mię kochasz?... Ach, jak się lękam, byś nie powiedziała... tak.

— Kocham ciebie, jak grotą swoje stalaktyty, lepiej niż cię kocha pani Cobblehill, pani Squire i Mery. Co rana wygrywam dla ciebie hymny na żelazkach do fryzowania, stalkach do sznurówki i sztucznej szczęce, zanim ją włożę do ust. Czy mi wierzysz? — zapytał kłown zmienionym głosem.

— Nie wierzę, póki mi nie dasz dowodu twojej miłości. Chcę być ministrem!

— Zostaniesz nim... lecz czy wtedy rozwiedziesz mię z moim mężem i sam się ze mną ożenisz?

— Kobieto! Chcę być tylko człowiekiem, a nie Bogiem — czyż Golgotę przejść muszę? Lecz jeśli losu tego nic nie zmieni, Profesor Browing z tobą się ożeni.

— Więc mię rozwiedziesz z mężem?

— Przysięgam ci na to! Rozwiode ciebie i panią Cobblehill i panią Squiry i Mery. Wszystkie mężatki rozwiode i ze wszystkimi się ożenię! Czyś zadowolona?

— Nie, tego nie chcę! Masz mnie jedną kochać! Czy rozumiesz? mnie jedną! Nikogo więcej!

— A ty? Któż mię zrobi ministrem, jeśli ty także tylko mnie jednego będziesz kochała?

— Mój mąż! Ale jakim będziesz dla mnie, gdy za ciebie wyjdę?

— Dobrym, bardzo dobrym. Gdy rzeka będzie zamrznięta, będziesz miała lody, na ugaszenie twojej miłości, a gdy odmarznie, rzucę cię do wody, byś mogła pływać.

— Nie umiem pływać. Zaczęłabym tonąć, a ty musiałbyś mię ratować.

— Nie umiesz? To tak łatwo! Patrz, tak się pływa.

Kłown położył się na ziemi i zaczął wykonywać ruchy, potrzebne do utrzymania się na wodzie.

— Więc ratowałbyś mię, gdybym tonęła? — spytał kobiecym głosem.

— Do wody nie wskakiwałbym za tobą, ale rzuciłbym ci na plecy kawał kamienia, abyś się go mogła trzymać. Byle dostać się do brzegu, na lądzie pływanie nie jest tak trudne. Są szkoły, gdzie tego uczą. Czy chcesz się tego nauczyć?

— Nie, nie chcę!

— Szkoda, bo poleciłbym ci na profesora Claringsa. On pływa po żydowsku, uczył się na Jordanie i przepłynął już kilka robionych bankructw.

— Głośny śmiech i brawa, posypały się ze strony robotników i oficjalistów fabryki barwików.

— A jeśli ciebie wezmę za żonę, czy nie uciekniesz mi z murzynem?

— Bałabym się murzyna, aby nie mieć popielatych dzieci.

— A panna Hawkins się nie boi i mówi, że będzie miała czarne — zresztą papa ma pieniądze, może kazać wpuków przemalować na białe.

Alluzja do świeżo poruszonego w brukowej gazetce skandalu stalowego trustowca, wywołała burzę oklasków. Wołano głośno: „Brawo John Browing! Bis! Bis!

Wtem z parterowych krzeseł zaczął się jakiś siwy mężczyzna przepychać przez tłum, i przeskoczywszy na

scenę ze zręcznością, którą mało kto w jego wieku mógłby się popisać, jednym uderzeniem wyrobionego boksera, obalił kłowna na ziemię. Rozległy się głosy protestu ze strony publiczności, kilku mężczyzn rzuciło się na pogromcę, rozpoczęła się bójka, którą zakończyła policja, aresztując kłowna i zwycięzcę.

— To Hawkins! — wołano z tłumu. — Wolałbyś pilnować córkę i na niej wypróbować ręk, to by ci nie była uciekła.

Po tym epizodzie aktorzy znów podjęli swoje role, i przedstawienie odbyło się do końca, w policji zaś rozpoczęła się inżagacja sprawców zakłócenia porządku publicznego.

— Kim pan jesteś? — pytał Browinga inspektor.

— Artystą dramatycznym, Romeem, Falstaffem i czem pan chce. Gram do spółki z przyszłą moją żonę, wygraną płytą gramofonową, panią Klewelton, która przyjechała tu ze mną z Oksfordu.

— Czy pani Klewelton brała udział także w tem przedstawieniu, gdy policja pana aresztowała?

— Tak, między mną a nią toczył się przedślubny dialog, który przerwali pańscy agenci. Będę musiał ich skarżyć za przeszkodzenie w dojściu do skutku mego małżeństwa.

— Ależ mnie przyniesiono raport, że pan sam dwoma głosami prowadził dialog.

— Jeśli masz pan ślepych agentów, to się nie dziwię, że mnie aresztowali. Gdyby nie byli ślepyi, wiedzieliby, że jestem profesorem uniwersytetu w Oksfordzie, i że aresztują sławę Anglii, chemika Johna Browinga i artystę w tragicznej farsie, mającej się skończyć katastrofą małżeństwa.

— Nie słyszałem takiego nazwiska, zresztą w Filadelfji wiem tylko o takim chemiku fabryki Claringsa.

— Nie słyszał o Browingu! — krzyczał profesor, wybuchając śmiechem i uderzając się rękoma po pstrych

trykotach. — Każ pan zawołać panią Klewelton, ona panu powie kim jest Browing.

— Niestety, nie wiem gdzie mieszka ta pani i kim jest.

— Kim jest? Sublimatem dla miłosnych bakterji, ręcicią w barometrze marzeń, moją kochanką a do tego żoną sekretarza ministerstwa oświaty. Mieszka w Oksfordzie i co najważniejsze, nie opłaca podatku.

— To dość daleko, my jesteśmy w Filadelfji. Angielscy ministrowie i ich sekretarze, a tem bardziej ich żony, nie są dla nas przedmiotem dyskusji.

— Mylisz się zacny prefekcie policji, my jesteśmy w Oksfordzie, Londynie, Genewie, wszędzie gdzie ja jestem.

— Jakto, równocześnie w tylu miastach?

— Tak, ale tego pan nie pojmiesz. Prefekt policji jest w Londynie, a jego głupota w Oksfordzie lub gdzieindziej, stosownie do tego, dokąd pisuje.

Inspektor wybuchnął śmiechem i zwracając się do Browinga, rzekł:

— Może pan odejść! Przesłucham jeszcze pana Hawkinsa, a po panią Klewelton poszlę auto przez morze do Oksfordu.

— Bardzo będę panu zobowiązany, panie prefekcie. Życzę dobrej nocy!

Gdy Browing, kłaniając się ciągle w sposób błazeński odszedł, wysunęła się za nim z gmachu policji jakaś postać, i idąc krok w krok za nim, odprowadziła go aż do bramy jego domu.

Tą samą drogą odwoziła buda ratunkowa jakąś nieznaną nikomu damę, która zemdląla podczas przedstawienia i nie można jej było docucić.

Browning, przyszedłszy do domu, stanął przed lustrem i zaczął się sobie przyglądać. Kolorowe trykoty były zwalane kurzem i wapnem, kurtka arlekiną pękła w połowie, świecąc białą plamą bielizny. Spazmatyczny głośny śmiech wyrwał mu się z krtani i odbił się echem po pustych pokojach. Profesor ocknął się. Usłyszał swój głos i prze-

straszył się go. Brzmiał mu obco. Uczuł, że to nie on się śmieje, ale ktoś inny w nim samym, ktoś, kto go nienawidzi i chce go zgubić. Palił go dziwny strój, bo odbicie w zwierciadle nie było podobizną jego, ale wstrętnego kłowna, którym w tej chwili gardził. Z wściekłością zaczął zrywać z siebie kolorowe szmaty, które w strzępach zsuwały się na ziemię. Gdy wszystkie opadły, rzucił się na ziemię i rycząc z bólu, tarzał się w nich, spocyny i blade z kurczowo ściągniętymi szczękami. Wtem cień jakiś zeszedł ze ściany i podszedł ku niemu. Profesor zerwał się, i bryzgając pianą z ust, rzucił się do drzwi.

— Milly! nie duś mnie! Ratunku! — ryknął i wybiegł na kurytarz.

Zimne nocne powietrze przywróciło mu przytomność. W całym domu spano tak głęboko, że nikt nie usłyszał jego głosu. Wrócił więc do pokoju i, nie rozbierając się, przeleżał bez snów, w zupełnem odrętwieniu. Rano przyniósł mu przebudzenie, a z niem niepamięć wszystkiego co zaszło. Ból głowy i spadek sił był wszystkim, co pozostało po zdarzeniach zeszłej nocy.

Jednak skutki jego kroku nie pozwoliły długo na siebie czekać. Około dziesiątej nadszedł posłaniec z listem od firmy Clarings & Comp., zwalniający profesora z posady chemika, a w niespełna godzinę później musiał się poddać badaniom policyjnego lekarza.

Browning był wściekły. Gdyby nie te niespodzianki, których początkowo nie mógł pojąć, byłby, jak sądził, dawnym człowiekiem. Teraz jednak zaczęły w nim powoli budzić się jakieś tępe wspomnienia, niepokój jego zaczął wzrastać, a razem z nim nastąpił spadek zaufania do własnej świadomości, jako kontrolnej władzy myśli i czynów. Głodny i wyczerpany wyszedł z domu, by zjeść coś w pobliskiej restauracji. Po drodze spotkał miss Griffin, która minęła go, nie odpowiadając na jego ukłon. Teraz już nie miał wątpliwości, że dopuścił się czegoś, co go wytrąciło z pośród żywych.

W restauracji kazał sobie podać dziennik, w którym pracował reporter z ulicy Nowojorskiej. Znalazł tam dokładny opis przedstawienia i awantury, której był bohaterem. Nie dokończywszy jedzenia, zapłacił i powlókł się do domu ze spuszczoną głową, unikając przechodniów, z których każdy, jak mu się zdawało, bacznie mu się przyglądał.

XIV.

— Zdaje mi się, że zbyt ryzykowną dawkę zażądałeś profesorowi. Straciliśmy przez to miss Griffin i dalsza nasza robota będzie bardzo utrudniona — mówił Resturner, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

— To prawda, że miss Griffin dla nas stracona. Nie odważy się zbliżyć do Browinga z obawy, by w przystępie szału, jej nie obrał sobie za temat występu i nie naraził na taki skandal, jak panią Klewelton; jednak nie możemy stać na miejscu, lekarstwo musi być radykalne, gdy choroba ciężka i nieuleczalna. Z drugiej strony przyznam ci się, że chciałem tym razem nie tylko zaatakować profesora, ale także uratować żonę reportera. Młoda, wrażliwa i niedoświadczona — profesor wziął ją na plewy i uwierzyła w to, co on wielu innym przed nią recytował. Że dotąd nie zdaje sobie najmniejszej sprawy z tego, iż była narzędziem w mojem ręku i przenosiła małemi dawkami na swego kochanka stany, które go doprowadziły do obłądzenia, to pewne, ale że brutalność jego w odniesieniu do pani Klewelton ją zraziła raz na zawsze, o tem nie wątpię. Bez tego, kto wie, czy nie wróciłaby znów do swego romansu i czy sama obawa przed ujawnieniem go przed światem, zburzyłaby w niej tę, tak źle ułożoną miłość — odpowiedział Harwick, zamysławiając się głęboko.

— Jakiś ty dobry — zaśmiał się Resturner — ale dla czego nie ratowałeś pani Klewelton i tyle innych,

które podzieliły jej los? Przyznaj się, że nie małą rolę odegrała tu zazdrość.

— Nie zapieram się, że miss Griffin była mi sympatyczniejszą od innych, ale sympatja moja miała swoje uzasadnienie, bo czyż można ją porównać z taką panią Klewelton? Miałem czas poznać ją podczas seansów spirytystycznych, które wykorzystywałem dla działania na Browinga, i wtedy znalazłem w niej wiele pokrewnych rysów charakteru z biedną Milly. To mnie pociąga do niej, ale o miłości niema mowy. By kochać, trzeba chcieć, trzeba wypuścić w wyobraźni przedmiot uczucia. Miłość nie jest gromem z jasnego nieba, który trafia niewinnego; każdy ma w sobie dość siły, by nim iskierka rozpali się ogniem, ugasić ją lub zejść jej z drogi. Zresztą nawet od Milly uciekłem i nie próbowałem w niej wzbudzać uczucia wtedy, gdy wyszła za Browinga. Panna Worth mogła mnie kochać, gdyby była chciała, bez popełnienia zdrady wobec kogokolwiek, pani Browing opłacić musiałaby to swoją wartością moralną. To samo obowiązuje zresztą także mężczyznę.

— Czy się mylę, czy też naprawdę słyszę to od ciebie? Harwick, wynalazca, głosiciel postępu, który duszę uważa za energję materjalną, głosi zasady z przed kilku set lat?

— Z przed kilku tysięcy, powiedz raczej. Co ma postęp do etyki? Czy dusza jest materjalną, czy nie, to nie zmienia naszego stosunku do ludzi, który określa etyka. Nie jest etycznym, kto czyni dobrze dlatego, bo się spodziewa nagrody tu lub w niebie, ani kto nie czyni źle, bojąc się kary; ale etycznym jest ten, kto odczuwa i unika dyssonansów, wynikających z tarcia własnego egoizmu z prawami bytu swej społeczności. Przykazania dekalogu te, które określają nasz stosunek do naszych braci, obowiązywały wiele wieków przed żydami i obowiązywać będą nadal tak długo, jak długo społeczności będą sobą, a nie stadem luźnie włączącego się bydła.

— A jednak wśród wolnomyślnych jest zasada lekceważenie sobie etyki. Czy mi zaprzeczysz?

— O tyle zaprzeczę, że ci wolnomyślni, o których mówisz, nie są i nie byli nimi nigdy. Poglądy ich powstały nie przed odstępniem od etyki, ale odstępstwo od etyki każało im chwycić się tak zwanego postępu. Stali się wolnomyślnymi, by usprawiedliwić przed światem i sobą popełnione czyny, nie dla tego, by doszli do swych poglądów drogą głębokiego przemyślenia. Złym może być tylko głupiec, mędrzec musi być dobrym.

— A jednak ścigasza Browinga i mścisz się na nim.

— Nie mszczę się, lecz wykonuję sprawiedliwość. Przebaczyłem robotnikowi, gdy mię chciał zabić i obrażować, ale nie mam prawa przebaczyć profesorowi zbrodni, popełnionej na Milly i swoim własnem dziecku. To ona mi dyktuje, ja jestem tylko wykonawcą, często wbrew mej woli. Gdy widział przed kilku dniami Browinga, jak blady, z napół obłąkanym wzrokiem przeciskał się, jak zwierzę goniony, przez tłumy zalegające bulwar i pomyślałem, że ja jestem sprawcą jego stanu, owładnął mną taki żal i współczucie, że chciałem uciekać z Filadelfji i zostawić go jego losowi. Wtedy zjawiała mi się Milly, obrzękła od wody, z rozpuszczonymi, ociekającymi włosami i kładąc mi zimną, jak lód dłoń na głowie, spytała, czy ją chcę porzucić, gdy nikogo, prócz mnie nie ma już na świecie?

— Podobasz mi się Harwicku! Przyznam ci się, że im dłużej przebywam z tobą, tem mniej mię pociągają moi dawni towarzysze. Odłączasz mię od nich powoli, choć sam nie wiesz o tem. Jednak na razie jeszcze są nam potrzebni. Czy dobrze schowałeś metrykę synka Milly i testament jej z czasów, gdy przestała się łudzić co do uczciwych zamiarów męża w odniesieniu do dziecka?

— Nikt nie znalazłby tych papierów. Okazałeś wiele sprytu i pamięci o naszej biednej Milly, kiedy Browin-

gowi zabrać zdołałeś metrykę. Czy wiesz jednak skąd mam testament?

— Nie mówiłeś mi tego — czy sam go zdobyłeś?

— Przyniósł mi go człowiek w okularach. Skąd jednak doszedł do niego, nie mam pojęcia.

— Jemu nie trudno, bo zamki dla niego nie istnieją. Lecz ostatecznie, co nam z tych papierów, skoro nie trafiliśmy dotąd na ślad dziecka?

— Jestem na tropie i za kilka tygodni będę miał o niem dokładne informacje. Jednak Browing musi wrócić do Londynu, gdyż bez niego sprawa się nie uda. Wiem tyle, że dziecko żyje, że chłop oddawna za nie nie płaci i że malec cierpi biedę, choć jego przygodnym opiekunom, których uważa za własnych rodziców, powodzi się podobno bardzo dobrze.

— Wiesz Harwicku, że tego nie pojmuję, jakim sposobem może się to dziać, by ktoś, trzymając tak długo u siebie dziecko, mógł się do niego nie przywiązać. Mam naturę twardą i w czułości nie wierzę, bo dla mnie nikt nie był czułym i nie nauczył mnie tego, ale już sama bezbronność dziecka rozbraja mię.

— Nie dziwię ci się — masz w sobie coś z pierwotnej natury — inni myślą inaczej. Społeczeństwa chowają ludzi w dyssonansie, każą kochać bliźniego i równocześnie liczyć na nagrodę za to. To wyradza kupczenie uczuciem i wspiera wrodzony popęd do egoizmu, przybranego w piękne słówka.

— Na wszystko masz własne poglądy, musiałeś wiele przeżyć i przemyśleć?

— Poznanie rodzi się z rozpacz i osamotnienia. Wtedy świat od nas się oddala na taką metę, z której widzimy go, jakim jest w rzeczywistości. Szczęście przynosi płytkość, przyciskamy namiętnie do siebie rzeczywistość i nie możemy się jej przyglądać, bo oczy nasze zasłania rozkosz. Dlatego tak zwana gruchająca para, chłonąc w siebie szczęście, jest wobec siebie zupełnie ślepa.

— Czy nie myślisz, że dlatego miss Griffin wydaje ci się lepszą od innych? — zapytał Resturner, uśmiechając się i zerkając z boku na Harwicka.

— Nie przeczę, że potrzebę ciepła odczuwam, jednak wiem, że dla mnie ono już nie istnieje. Zresztą nie byłbym zrozumiany. Kobieta jest zdolną do fosforyzowania uczucia z siebie, jednak nie dla mnie; zbyt mało mam w sobie egoistycznej brutalności, by być kochanym. A co do miss Griffin, to nie zapominaj, że gdybym nawet miał warunki po temu, nie chciałbym nigdy doprowadzać nikogo do podłości. Przysiężenie, jakie sobie ludzie dają, łącząc się w małżeństwie, obowiązuje każde z osobna. Niema wyjątkowych praw dla przysiężeń tych lub innych. Albo jest jakaś prawda, albo jej niema. Gdy się ludzie nie zgadzają, mogą się rozejść, ale zdradzać się im nie wolno. Choćby nawet żona nie popełniała żadnego występku prócz tego, że do swej świadomości wprowadziłaby innego mężczyznę i jego wizją żyła, będąc w małżeństwie popełnia zdradę, bo wprowadza trzecią osobę tam, gdzie wedle umowy dobrowolnej, jest miejsce tylko na dwoje. Często zakazany związek fizyczny jest łatwiejszym do przebaczenia, gdy jest wynikiem zřecznie przez jedną z dwojga wykorzystanego podniecenia i nie powtarza się więcej, niż długotrwałe pieszczenie w myśli zakazanej miłości, która czyni piekłem pożycie małżonków i nie może doznać rozwikłania, gdy wróg jest niewidoczny, a wszelkie usuwanie go wykluczone. Taka zdrada jest najpodlejszą formą zdrady małżeńskiej.

— To pyszne! Zdaje się, Harwicku, że musiałybyś wszystkie małżeństwa rozpędzić na cztery wiatry. Twojej etyki nikt nie wyznaje, prócz ciebie samego.

— Raczej przeszkodziłbym zawieraniu małżeństw; gdzie niema umowy, tam nie można jej złamać. Lepiej więc nie przysięgać, niż popełniać nieuczciwość. Czasy średniowiecza, gdzie stanowiono o losie mającej się pobrać pary, minęły. Dziś nikt nie może się wymawiać, że

go zmuszano do małżeństwa. Czy z miłości, czy bez niej ludzie się pobierają, to obojętne, w każdym wypadku jest rachunek, czy przez połączenie się liczymy na uzyskanie trwałego zadowolenia czy na materialne zabezpieczenie sobie życia. Czy, jeśli kalkulacja zawiedzie kupca, i pokazuje się, że zrobił taką umowę, iż na niej stracił, uwalnia go to od dotrzymania kontraktu? Za niehonor uważa się niedotrzymanie umowy karciarzy, i gdy który przegra, zmusza się go bojkotem towarzyskim do zapłacenia długu, choćby przy tem stracił podstawę bytu dla siebie i swej rodziny, a niedotrzymanie kontraktu małżeńskiego tłumaczy się prawem kobiety czy mężczyzny i robi się bohaterstwo z tego, co jest zwykłą nieuczciwością. Jest to moralność urabiana przez tych, którzy, wykraczając przeciw przyjętej zasadzie, że słowność obowiązuje, stworzyli specjalną etykę na swe usprawiedliwienie.

— Czyś ty w niczem nigdy nie błądził, Harwicku?

— Owszem błądziłem, ale umiałem błąd nazwać błędem i nie stwarzałem dla siebie wyjść, któremi jak lis z nory mógłbym zawsze uciec przed odpowiedzialnością.

— Rozgadałeś się przyjacielu, a tu trzeba coś postanowić w sprawie profesora. Kogo myślisz obrać sobie za medjum, działające na niego? Profesor odosobnił się od ludzi i ich unika, nie znam nikogo z kimby się stykał.

— Przyznaję, że obecnie sprawa jest trudniejsza niż przedtem, ale też i grunt podatniejszy. Profesor jest w stanie takiego podniecenia, że łatwo da na siebie działać. Musimy go zaskoczyć we śnie. Czy potrafisz otworzyć jego mieszkanie?

— Ależ to najmniejsze. W czasie jego nieobecności wezmę odcisk zamku i dorobię klucz; potem będziemy mogli wchodzić i wychodzić, kiedy zechcemy. Dziś jeszcze może być gotowe.

— W takim razie chodźmy, będę obserwował bramę, a gdy Browing wyjdzie, zrobisz swoje.

XV.

— Jeśli myślą, że mię zmuszą do wyznania prawdy, to się mylą. Harwick w grobie, a Resturner, choć przez śmierć mydlarza uratował się od zguby, nie będzie miał powodu do ścigania mnie. Spij dobrze Milly! Tamiza mówi dużo i ciągle, ale sekretu nie wyda. Gdy się kiedyś spotkamy w niebie, opowiesz mi co widziałaś na dnie rzeki; może ci doniosły co potoki wypływające z bagna, gdzie spoczął twój synek. Prześladowujecie mnie, pędzicie za mną w dzień i w nocy, ale nic wam nie wpadnie w ręce! O tu — mówił sam do siebie, wskazując na dużą, szczelnie zamkniętą walizę — tu jest tajemnica!

Browing zaśmiał się dziko, lecz w tej chwili spoważniał. Wymuszony skurcz mięśni wygładził się znów i twarz przybrała zimną sztywność.

— A jednak zagładnę!

Niecierpliwie zaczął odmykać walizę i z rosnącym pośpiechem wyrzucał z niej wszystko na środek pokoju, chcąc jak najprędzej dostać się do jej dna. Wreszcie okazały się papiery. Browing odgarnął wierzchni plik i wyjął ze spodu opieczetowaną kopertę. Otworzył ją i wydobyl jakieś złożone dokumenty. Ręce mu drżały, gdy je rozkładał. Nagle śmiertelny przestrich odbił się na jego twarzy, pot kroplisty operlił mu czoło, a z wykrzywionych ust wydarł się okrzyk pełen zgrozy i rozczarowania. W kopercie zamiast dokumentów, znalazł dwie niezapisane kartki papieru. Zaczął ponownie przeszukiwanie,

mnąc każdy wpadający mu pod rękę papier, poczem wrócił znów do otwartej koperty i przewrócił na drugą stronę — ale nadaremnie. Na podłodze leżały rozrzucona bielizna i ubrania, a nad niemi piętrzył się stos zgniecionych papierów. Wtem rozległ się w pokoju głośny, bezdźwięczny śmiech.

— Kto tu? — ryknął profesor i rzucił się w stronę skąd doleciał go głos.

Przed nim stał człowiek o czarnym zaroście i wielkich czarnych okularach. Browing, cofnął się, ale za chwilę, tocząc nabiegłemi krwią oczyma, postąpił naprzód.

— Oddaj mi metrykę mego dziecka i testament! — krzyczał z pianą na ustach.

Człowiek w okularach, nie ruszając się z miejsca, wpatrzył się w profesora. Ten drgnął, i przysłaniając oczy ręką, cofał się aż ku przeciwnej ścianie pokoju. W tej chwili człowiek w okularach znikł. Browing szukał go wzrokiem, ale pokój był znów pusty, drzwi zamknięte i nic, prócz jednostajnego tykania zegara, nie zakłócało bezwzględnej ciszy. Na nieotwieranem od wielu dni oknie kołysał się w swej siatce ogromny pajak, przykuwając do siebie uwagę profesora. Pajak siedział nieruchomy, poddając się zupełnie biernie drganom siatki. Nagle drzwi skrzypnęły, a Browingowi zdawało się, że owad się poruszył, że wyciąga ku niemu swoje łapki i opuszcza się ku ziemi, a w miarę jak się do niej zbliżał, olbrzymiały jego wymiary, łapy przeistaczały się w nogi ludzkie, tułów napęczniał i okrył się brunatną peleryną, a zwiększająca się coraz głowa, przeistoczyła się w twarz człowieka.

— Ty żyjesz, Harwicku? — spytał profesor, — Po co przychodzisz?

— Przychodzę po ciebie stamtąd, gdzie mię wysłał przekupiony przez ciebie robotnik.

— Ależ ty nie żyjesz, nie śmiesz żyć! — krzyknął profesor.

— Umieramy, gdyśmy spełnili wszystko dobre i złe. Nim to się stanie, żyjemy. Chodź za mną!

— Nie chcę umierać! Boję się ciebie! Odejdź!

— Czy myślisz, że ty jeden boisz się umierać, a inni się nie bali? Czy znasz tę kobietę?

W tej chwili cień Milly stanął za Harwickiem, a dwoje smutnych oczu wpatrzyło się w profesora z wyrazem niemego wyrzutu.

— Milly i ty tu?

— Zimne fale mem mieszkaniem! Pójdź ze mną! przysięgałeś mi wierność, dotrzymaj! — odezwał się cichy głos kobiety.

— Weź wszystko i idź! Zaklinam cię! Ginę ze strachu! Litości!

— Ha, ha! — zaśmiał się Harwick — żadasz litości... a czy ty ją miałeś dla drugich? Czy miałeś ją wtedy, gdyś żonę swoją stracił do Tamizy, a dziecko kazałeś zagłodzić?

— Skąd wiesz o tem? Czy ci mówił Resturner? Kto ci dał prawo o tem mówić?

— Ja! — odezwał się głos kobiety i cień postąpił naprzód.

Browning cofnął się, a potem wlepiając wzrok w Harwicka zawołał:

— Rainston! narzeczony panny Worth! Wy znów razem? Może i Gibson z wami? Dlaczego mi nie odkryłeś prawdziwego nazwiska, gdyś był u mnie w Londynie? Dlaczego opowiadałeś mi zmyśloną historję o zawodzie mydlarskim, gdy wiem, że jesteś synem właściciela dóbr i żyjesz z renty?

— Dlaczego? Boś nie wart prawdy! Bo prawda zbrukałaby się, gdyby się o ciebie otarła: Boś żył kłamstwem i zdradą. Patrz tam! — rzekł Harwick, wskazując ręką na cień panny Worth.

Cień zmieniał kształty i zaczął przemieniać się kolejno w postać pani Klewelton, pani Cobblehill, Mary a wreszcie w Griffin.

— Czego one chcą odemnie? Gdzie jestem?

— Na sądzie tych, którym odebrałeś życie, lub kwiaty życia. W ogrodzie twoim nie zieleni się jedna roślina.

— Idź w grób! idź w grób! — odezwał się głos kobiety i cień panny Worth znów stanął za Harwickiem.

— Błagaj ją Rainstonie, niech mi przebaczy! — prosił profesor.

— Przebacza się tym, którzy żałują; a czyś ty kiedy żałował swego uczynku? Czy i dziś żałujesz? Dziecko twoje żyje... oddaj mu posag żony, napraw choć część zbrodni!

— Nie oddam! — ryknął profesor. — Precz stąd!

— W umarłych godzisz? — odezwały się w pokoju z różnych stron głosy — pod sąd! pod sąd! Bierzcie go!

Browing poczuł, jak go równocześnie wiele rąk chwyciło i pociągnęło za sobą. Ciężka mgła spadła mu na oczy i stracił przytomność. Odzyskał ją na okręcie zdążającym do Anglii, a pierwsze jego spojrzenie spotkało się z bezdenną otchłanią oczu człowieka w czarnych okularach.

XVI.

— Przynoszę ci najświeższą nowinę: Browinga areztowano. Przyjechał i sam się oddał władzy. Dziś już wszystkie gazety piszą o tem. Poszukiwania za synkiem Milly wdrożono, chłopca z nad stawu także już mają. Obecnie rozpisano po dziennikach wezwanie, by każdy, kto wie coś o miejscu pobytu pana Rainstona, bezwłocznie doniósł o tem sędziemu. Ma to być najważniejszy świadek. Browing na niego się odwołał, ale nikt go nie zna. Czy nie wiesz co o nim, Harwicku?

— Wiem! ja jestem nim!

— Słyszałem o tem, że „Harwick“ nie jest twojem prawdziwym nazwiskiem, ale ty nie domyślasz się, że i ja także pod obcem występuję. Nazywam się Gibson. Jednak o tem nikt, prócz ciebie, wiedzieć nie może. Gibson jest potępiony przez policję, Resturner jeszcze nie, i dzięki tobie może już nigdy nie popadnie z nią w konflikt.

— Z przybyciem naszym do Londynu misja nasza dobiega końca. Będę się musiał zgłosić do sądu, by oddać papiery, potrzebne do zabezpieczenia losu synka Milly. Obciążać Browinga nie myślę, sam siebie potępił, zresztą — koniec jego bliższy niż przypuszczasz.

— Czy natrafiono już na jakie ślady chłopca?

— Chłopak już jest w Londynie; ustanowiono chwilowo opiekunem jego i spornej masy spadkowej wuja Milly, kapitana Munksa, do niego też oddano dziecko. Byłem tam i widziałem je. Zupełne odbicie matki, tylko wychudłe i wynędzniałe, że żal na nie patrzeć.

— Czy Browing widział je?

— Pytano go, czy nie chciałby zobaczyć swego dziecka, ale odrzucił propozycję. Zdaje się, że fakt odszukania chłopca dobił go moralnie. Nareszcie zrozumiał, że w maszynie świata jesteśmy tylko kółkami, a maszynistą jest kompleks sił przyrody, której nie znamy. Jednak dziś niema czasu na pogadankę, chodźmy do sądu!

— Może przedtem wstąpimy do aresztów, dowiedzieć się o Browinga?

— Z chęcią. Ale, czy ty jednak będziesz mógł mi towarzyszyć?

— Prawdę mówiąc, nie bardzo to dla mnie bezpieczna wycieczka, ale obecnie już mi wszystko jedno. Wielkich grzechów nie mam na sumieniu, a jeśli mię za moje mniejsze wsadzą, to będę miał czas przemyśleć wszystko, com dotąd przeżył. Zresztą, przez obcowanie z tobą przestałem brać życie ze strony drobiazgów i patrzę nań trochę „sub specie aeternitas“.

— Więc chodźmy! Mam nadzieję, że w aresztach ciebie nie poznają. Na policję nie radziłbym ci jednak chodzić.

Gdy weszli na podwórze więzienne, zobaczyli kilku ludzi, niosących nakryte mary.

— Kogo to wynosicie? — spytał Harwick.

— Aresztanta z celi 28 — odpowiedzieli tragarze — za kilka godzin będzie gotów!

— Czy znacie jego nazwisko?

— Nie! Ale mówiono nam, że ma to być jakiś profesor z Oksfordu.

— Browing! — krzyknął Harwick i przypadł do lektyki, odchylając budę.

Tragarze opuścili mary na ziemię i odstąpili kilka kroków.

Profesor leżał woskowo blady z nawpół otwartymi oczyma i dziwnie wykrzywioną twarzą, po której przebiegały lekkie, ledwie widoczne drgania. Przestrach mallował się w jego rysach, nadając im wyraz odrażający.

— Dłużej niż do wieczora nie dożyje — odezwał się Harwick, wpatrując się w konającego.

Resturner stał obok, pogrążony w zadumie. Nagle Harwick, zakrywając ręką oczy, odwrócił się i odstąpił od lektyki.

— Płaczesz? — spytał Resturner, kładąc mu z współczuciem rękę na ramieniu.

Harwick nie odpowiedział, ale szybkim krokiem opuścił więzienie.

Przy bramie zatrzymał ich strażnik.

— Kogo pan odwiedzał? — spytał — proszę się wpisać do księgi.

— Byłem u profesora Browinga z Oksfordu, — odrzekł Harwick — ale zastałem właśnie ludzi, którzy go wynosili do szpitala.

— U Browinga? Tego my już sądzić nie będziemy. Nie długo mu na tym świecie. Ale też przy końcu dał nam się we znaki. Od trzydziestu lat jestem stróżem więziennym, ale czegoś podobnego nie widziałem.

— Cóż on takiego robił? — spytał Resturner.

— Co robił? Robił awantury. Naprzód zaczął pleść o jakiejś pramaterji, krzyczał, że go Harwick chce zabić, rozbijał się po więzieniu jak mara po piekle, uciekając przed jakąś Milly. Wreszcie upadł na ziemię i dostał konwulsji. Zawołaliśmy doktora, ale ten orzekł, że stan jest beznadziejny i że Browing dostał ataku szału, z którego już się nie podniesie. Kazał odnieść go do szpitala więziennego i mówił, że do wieczora nie przetrzyma.

— Czy nie pamiętacie, co mówił o Milly? — spytał Harwick.

— Ktoby to spamiętał? Plótł jak szalony. Wiem tyle, że ryczał ze strachu i bronił się przed nią, prosząc, by go nie dusiła; widać jednak, że przy końcu dała mu radę, bo się rozciągnął na ziemi i zaczął charczeć tak, że myśleliśmy, że nim doktor przyjdzie, już będzie po nim.

— Miałeś dobre przeczucie, udając się do aresztów — odezwał się Resturner, gdy wychodzili na ulicę.

— Pewność, nie przecucie, Resturnerze! Czy przypuszczasz, że gdy jedno kółko w zegarze przestaje się obracać, drugie sąsiednie może o tem nie wiedzieć? Czasem losy dwu ludzi są tak z sobą związane, że niema dla nich tajemnicy przyszłości.

— Dokąd teraz pójdziemy?

— Mam oddać w sądzie papiery, a potem chodźmy do domu. Gwar uliczny mię razi, wolałbym ciszę.

— Widzę, że dziś nerwy twoje doznały silnych wstrząśnień, więc nie chciałbym dolewać oliwy do ognia. Jednak muszę ci zakomunikować jeszcze jedną niewesołą nowinę. A może zostawić to do jutra?

— Do jutra zapóźno, mów śmiało! Po tem, co już przeżyłem, żadna nowina nie może mi być straszną. Co się stało?

— Pani Klewelton otruła się.

— Na szali występków Browinga zaciążył więc jeszcze jeden dług, nie dający się nigdy spłacić. Przepadło! Po nim i po niej potoczy się świat dalej w mroczną niekończoność.

— I po nas — dorzucił Resturner.

XVII.

— Jakże tu dziwnie zimno! — mówił Harwick. — Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że świat się kończy. Może dla innych nie, ale dla mnie, a kto wie, Resturne-rze, czy i nie dla ciebie.

— Niech się kończy! Nie przypominam sobie, bym go kiedy witał z wielką radością. Nic nie daje. Ty przynajmniej zostawisz po sobie sławę odkrycia, jakiego nikt przed tobą nie zrobił. Ale ja? Samotny szedłem przez życie i odejdę nieopłakiwany. Iskierka, która mi błysnęła na chwilę, zgasła i błądziłem w ciemnościach, z których dotąd nie widzę wyjścia.

— Nie mów mi o szczęściu, które daje sława. Odkrycie moje nie może mię przeżyć. Nie chcę ludzkości wprowadzać w większą jeszcze nędzę niż tę, w której już żyje. Czy wyobrażasz sobie do czego używaliby mego wynalazku, gdyby im wpadł w ręce? Nie rozum, ale uczucie daje szczęście. Rozum może dać etykę i spokój grobu, ale odsuwa człowieka od bezpośredniości, z jaką powinien przyjmować dary przyrody. Gdyby mój wynalazek umiał stworzyć miłość szczerą i prostą, zostawiłbym go ludzkości, ale odkrycie moje nie zdoła tego dokonać, a ludzie użyliby go tak, jak ja go użyłem: wyrównywaliby nim rachunki nienawiści. Dlatego musi zginąć, gdy ja zginę!

— Harwicku, co tobie? Tak dziwnie dziś mówisz. Czy to, iż się spodziewasz, że w tej chwili kona nasz wróg, tak cię zniechęca do wszystkiego?

— Nie do wszystkiego. Czuję, że dziś już ostatni raz widziałem wschodzące słońce, czuję w sobie te łagodne prądy, których zadaniem jest rozbić mą istotę, rozłożyć ją i wyswobodzić te niechętnie ze sobą spojone siły przyrody, których związek nazywamy świadomością czy duszą. Mam jedno jeszcze życzenie. Chciałbym zobaczyć ją — raz jeszcze i zasnąć. Niech jeszcze raz promień słońca rozjaśni choć na chwilę dogasającą jesień mego życia. Milly! jeśli miałaś jedną choć chwilę, w której mnie kochałaś, jeśli widziałaś, że dla pomszczenia cię poił się żółcią nienawiści, stawszy się katem dla siebie i twego mordercy — przybądź!

Resturner drgnął i odwrócił głowę. Między nim a Harwickiem stanął cień panny Worth. Głębokie żrenice przesunęły się ze smutkiem po nich obojgu, wreszcie spoczęły na Harwicku.

— Milly, droga moja Milly! — Czemuś tak smutna? Zbliź się, niech raz jeszcze usłyszę bicie twego serca, za którym zawsze tęskniłem. Na mojem niebie byłaś mi zawsze jedynem słońcem, bądź ze mną dziś, gdy jutra już nie ujrzę!

— Serca pragniesz odemnie, która jestem marą? Nie dałam ci go za życia, a ty chcesz, bym ci je oddała teraz? Zdeptane leży na dnie Tamizy — idź tam i szukaj go! Mętne fale toczą się nad moją wiarą, moją młodością i mną samą; przed tobą stoi cień twej własnej duszy, twych marzeń i rozpacz. Biedny Rainstonie, nie mam dla ciebie ani Gibsona niczego, prócz smutku i rozpacz. Że jednak dzień wasz dogasa, nie opuszczę was.

— Czy mi przebaczasz Milly? — spytał z prośbą w głosie Resturner.

— Nie popełniłeś wobec mnie występku. Kochałeś mnie inaczej niż Rainston, ale dochowałeś mi miłości. Lecz oto zbliża się chwila, w której cieniami staną się żywi: wysłannik wiecznej przyrody czeka na nas. Gotujcie się do drogi!

Resturner pobladł, Harwick zaś opuścił głowę i za-

myślał się. Przed nimi stał człowiek w czarnych okularach. Błądy, sztywny, nieruchomo wpatrzony w próżnię.

Harwick wyciągnął doń rękę i odezwał się pierwszy:

— Skoro przyszedłeś po mnie, prowadź gdzie chcesz! Jestem gotów na śmierć.

— Na śmierć?! — zaśmiał się człowiek w okularach — a czyż ty i twój przyjaciel żyliście kiedykolwiek własnem życiem? Wiedźcie, że swoje istnienie zawdzięczacie tylko chorej wyobraźni Browinga, że jesteście jego wyrzutami sumienia z powodu zamordowania Milly, jego przypuszczeniami, obawami i półświadomymi stanami, a jako wizja jego obłądu, jego cieniami, które giną, gdy on ginie. W tej chwili Browing skonał! Wróćcie do niego wy cząstki tej wiecznej energii, od której odłączyliście się, a która stanowi jego duszę!

Człowiek w okularach ujął Milly za rękę i poprowadził za sobą. Za nią posunęły się dwa nowe cienie, Harwicka i Resturnera.

Wieżowy zegar wybił siódmą.

XVIII.

— Jakże miłe ma pani mieszkanie. Choć całe życie spędzam na wsi, nie odnoszę u pani tego wrażenia, że jestem w wielkiem mieście. Ogród, kwiaty, tyle słońca, — musi pani niejedną zazdrościć takiego przybytku.

— O tak, panie Rainstonie, rzeczywiście w Londynie nie łatwo znalazłoby się podobne mieszkanie. Ale też to słaba strona mego męża. „Dużo słońca i powietrza są połową zdrowia“. To jego dewiza. A wreszcie wie, że ja to lubię, więc troszczy się w dwójnasób, by mi dogodzić.

— Trzeba przyznać, że pan Klewelton należy do wyjątkowo dobrych mężów — odezwał się doktor Gibson — pracowity, zdolny, a do tego domator. Wyobrażam sobie, że z nim potrafiłbym wiek przeżyć i nie pokłócić się.

— Masz rację doktorze! Mąż mój posiada wszystkie te zalety, o jakich mówisz i kocha mię bardzo, ale ma jedną wadę, która stała się już wiele razy powodem sprzeczki między nami.

— Bardzo jestem ciekaw dowiedzieć się, co pani na nim wynalazła. Bo że długo pani szukała, tego jestem pewny.

— Mężczyźni z przyzwyczajenia trzymają jeden za drugim. Dla nich kobiety są zawsze gorsze od nich samych. Czy wie pan, co to zazdrość? Mąż mój panu może to wytłómaczyć.

— Pozwoli pani, że jako lekarz zapytam się, czy mowa tu o chorobliwej zazdrości czyli bez powodu, czy też umotywowanej jakim faktem?

— Złośliwość jest pańską drugą naturą, więc przebaczam ją panu, o ile odnosi się do osób obcych, ale my znamy się tyle lat i tak często jesteście panowie u mnie, że mógłby pan mię wyłączyć z pośród tych, na których pan ostrzy język.

— Dlaczego mam panią wyłączać? Czy dla tego, że jest pani żoną sekretarza ministerstwa, czy też dla tego, że znam panią? Właśnie z tego powodu, że panią znam, podtrzymuję moje poprzednie pytanie.

— Jesteś pan nieznośny, nie mówię z panem. Proszę wybaczyć — rzekła, zwracając się do Rainstona, — każe podać przekąskę i zobaczę dzisiejszą pocztę. Za chwilę będę z powrotem.

— Trochę za wiele sobie pozwalasz — rzekł po jej odejściu Rainston, zwracając się do Gibsona. — Tak wyraźnie pijesz do jej afery z profesorem Browingiem, że to co mówiłeś, wprost zakrawa na inpertynencję.

— Nie dziw się mi! My lekarze mamy specjalny przywilej do mówienia ludziom prawdy; przy badaniu, wyrobiliśmy sobie opinię, że nas w niczem nie należy się wstydzic. Gdybyś ty jej tyle powiedział, obraziłaby się, ale ze mną będzie za chwilę w' najlepszej zgodzie.

— Mniejsza z tem! Kochała się w Browingu, potem przestała się kochać, a że natrafiła na dobrego męża, więc jej przebaczył i, sądząc po jej humorze, niema między nimi dalszych dyssonansów.

— Co prawda, trzeba na to być Kleweltonem, by tak prędko zapomnieć. Ale... wspomniałeś mi o procesie z twoim sąsiadem — jakże się skończył?

— Dla mnie pomyślnie, bo przyznano mi cały ten pas ziemi, sąsiadujący z mojami dobrami, który on, jako moją własność, zakwestjonował. Zapłaci kosztą i może raz da sobie spokój.

— Masz szczęście i pewnie już złożyłeś ładny kapitał. Wszak się nie mylę?

— Nie będę się zapierał. Mam w gotówce około

pięćdziesięciu tysięcy funtów, a że mój majątek wart co najmniej trzy razy tyle, więc przed głodowaniem jestem chyba zabezpieczony.

— Wiesz co, Rainstonie, ożeń się! Szkoda zostawiać taki majątek obcym ludziom.

— A dla czego ty się nie żenisz? Daj dobry przykład, wszak i ciebie liczą na kilkadziesiąt tysięcy.

— Ja się żenić nie będę — po co mi tracić złudę? Ta, którą kochałem, nie żyje, mam jej obraz w pamięci czysty i nietknięty rzeczywistością. Możliwe, że gdyby została moją żoną a nie profesora, rozczarowałbym się, a tak kocham swą wizję i dobrze mi z tem.

— Zaczynamy więc znów o tem, co zawsze mimowoli poruszamy, gdy się zejdziemy razem. Po co wogóle poruszać tę sprawę? Wiesz, ile mi przykrości sprawiają te wspomnienia, zwłaszcza, że tak jak ja, nigdy nie kochałeś panny Worth.

— Nie jestem hreczkosiejem, abym zawsze włączył się z wagą i mógł ci na celnary oznaczyć mą miłość. Przypuszczam jednak, że musisz być zdolnym do większej miłości, bo też twoje serce, owinięte w spory podkład tłuszczu, dłużej zatrzymuje ciepło.

— I twojemu wyglądowi nic nie brakuje, ale też fakt, że potrafisz kpić, gdy mówisz o tej biednej kobiecie, którą rozpacz pchnęła tak młodo do samobójstwa, jest dowodem, że nigdy jej nie kochałeś.

— Tego ty nie potrafisz osądzić. Przesiadywanie na wsi zrobiło twój rozum bajecznie rustykalnym, skoro nie możesz pojąć, że nie u wszystkich to samo uczucie jednakowo się objawia. Bądźmy z sobą szczerzy. Inni na naszym miejscu dawno nagałaliby sobie głupstw i rozlecieliby się na cztery wiatry, a my, mimo zazdrości o przedmiot naszego uczucia, przecież ciągle się jakoś trzymamy i co dziwniejsze, wracamy ustawicznie do tego samego tematu.

— Przed kimże, jeśli nie przed tobą, będę mówił

o niej? Tyle już lat minęło od jej śmierci, a i tak nic więcej o niej nie możemy sobie powiedzieć prócz tego, cośmy obaj opowiedzieli sobie już ze sto razy. Właściwie nie powinniśmy już o niej wspominać. A jednak, ile razy widzę ciebie, zawsze przychodzi mi ochota wybać cię, czy nie zataiłeś przedemną jakiegoś szczegółu z jej życia, którego nie znam.

— Chcesz powiedzieć, że podejrzewasz mnie, iż mówiła kiedyś ze mną o swym stosunku do ciebie, a ja przez zazdrość nie chcę ci tego powtórzyć?

— Nie kryję się z tem. Tak jest w istocie. Ale wiesz co myślę w tej chwili?

— Ciekawy jestem.

— To, że gdyby nas ktoś podsłuchiwał, powiedziałby, że jesteśmy typami starych kawalerów. Czy zgadzasz się ze mną?

Gibson nie zdołał jeszcze odpowiedzieć, gdy weszła pani Klewelton z dziennikiem w ręku. Była silnie wzruszona i padając raczej, niż siadając na fotel, podsunęła gazetę Rainstonowi.

— Co się pani stało? — spytał Gibson — co za wiadomość tak panią wzruszyła?

— Czytajcie sami, ja nie potrafiłabym tego drugi raz powtórzyć — rzekła, wskazując na tytułową stronę, na której tłustym drukiem widniał napis: „Profesor John Browing mordercą własnej żony“.

Rainston wziął gazetę do ręki i przebiegł ją szybko oczyma, Gibson zaś, stojąc za nim, czytał również.

— Więc nie samobójstwo! Co za łotr! Zabić taką kobietę... to straszne! Biedna moja Milly! Tyle lat chodził bezkarnie wróg ludzi. Nie, — nie wierzę w sprawiedliwość. Niema jej!

— Uspokój się Rainstonie! Z umarłymi niema walki. Czytasz przecież, że umarł w więzieniu podczas ataku szału. Wyrzuty z powodu zabicia żony i przekonanie, iż dziecko nie żyje, były jak widać teraz powodem obłą-

kania, które go od roku trawiły. Dziennik zapowiada z tego okresu życia profesora druk długich zeznań, podanych przez jakiegoś, nikomu nieznanego człowieka w czarnych okularach, który, poczyniwszy je przed sędzią, znikł bez śladu. Jestem pewny, że przeczytawszy je, przekonamy się, iż Browinga dosięgła jeszcze za życia sprawiedliwość i że poniósł cięższą karę, niżby mu ją mogli zadać najostrzejsi sędziowie. Ale los Milly jest straszny! Tego nie przypuszczałem!

Pani Klewelton cicho łkała. Rainston i Gibson siedzieli w ciężkiej zadumie z opuszczonymi głowami.

Nagle Rainston się zerwał i rzekł dobitnie:

— Dziecko biorę do siebie! Idę zrobić prawny zapis dwu trzecich mego majątku na jego rzecz.

— I ja także — a potem sprowadzimy się razem — dorzucił Gibson. — Chodźmy!

K O N I E C.



1W-3093







Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

CWoTiR



0230-003093-00